Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT • NR 10 (1850) • 6 marca–12 marca 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIE

Wieczni kolonizatorzy

str. 5

DZIEŃ KOBIET w kościele katolickim

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl cc7ea89864

WOJNA DOMOWA

W sobotę reżim amerykański ramię w ramię z reżimem izraelskim napadły na reżim irański: bez rezolucji ONZ, bez wypowiedzenia wojny, w przypadku Trumpa bez zgody Kongresu (bo Netanjahu już od 2018 r. może napadać kogo chce, nie pytając Knesetu, ani nawet własnego rządu). Zaczęły od zabicia najwyższego przywódcy Islamskiej Republiki Iranu Alego Chameneiego oraz na okrasę 165 uczennic szkoły podstawowej Shajareh Tayyebeh w mieście Minab. W razie, gdyby ktoś mimo wszystko żywił jakieś romantyczne złudzenia na temat intencji naszego wielkiego brata, w środę rozwiał je Pete Hegseth – niezrównoważony alkoholik z wydziaranym zawołaniem pierwszej krucjaty, zatrudniony aktualnie na stanowisku „sekretarza wojny". Cytujemy: „To nigdy nie miała być uczciwa walka i to nie jest uczciwa walka, kopiemy ich, kiedy leżą, i tak być powinno".

Prezydent RP, mimo swojego słynnego zamiłowania do „szlachetnej męskiej walki", nie dostrzega problemu w kopaniu leżącego, nawet jak jest siedmioletnią dziewczynką: „Na naszych oczach upada groźny reżim irański, który dozbrajał Rosję w jej napaści na Ukrainę i zagrażał innym państwom na Bliskim Wschodzie. Jesteśmy razem z naszymi sojusznikami!" – ucieszył się Nawrocki na X. Ale wcześniej zapłakał: „Stany Zjednoczone – największy sojusznik Rzeczypospolitej Polskiej – straciły dziś trzech swoich synów w ataku odwetowym przeprowadzonym przez Iran. Kilku innych odniosło obrażenia. Myślami i modlitwą jesteśmy z nimi oraz ich rodzinami". I jakby ktoś chciał wiedzieć, czemu „myśli i modlitwy" prezydenta omijają zamordowane irańskie uczennice – przecież to jasne: nie ma się co wysilać i tak pójdą do piekła, ciapate małe suki.

Tak dla porządku: wrażliwość równą z prezydentem wykazują premier i jego gabinet oraz wszystkie możliwe media. Od sobotniego poranka rząd i opozycja, a także dziennikarze z obu stron barykady żyją ważkimi pytaniami: czy turyści z Bliskiego Wschodu mają jak wrócić do ojczyzny? Czy rząd wyśle samoloty? Czy konsulowie odbierają telefony? Dlaczego infolinia działa od 8.00 do 22.00 czasu polskiego, w końcu turyści są w czasie niepolskim, mają nie spać po nocach, żeby zadzwonić? Chcielibyśmy w tym miejscu uprzejmie zapytać, szczególnie przedstawicieli wolnej prasy: koledzy i koleżanki, czy was, kurwa, pojebało?! Nasz wielki sojusznik morduje masowo dzieci z powietrza, a wy się martwicie, że się komuś wycieczka nie udała? Obrazek Mleczki nam się przypomniał. Prezenter telewizyjny odczytuje wiadomości: „Dziś miał miejsce koniec świata. Wśród ofiar nie było Polaków".

Socjopatyczny brak empatii to jedyne, co łączy rząd z opozycją i prezydentem; w innych obszarach trwa poważna dyskusja. Obecnie główny obszar sporu to nieszczęsny program SAFE, którego rząd bardzo pragnie, ale prezydent się martwi „zagrożeniami generacyjnymi". Albowiem kiedy skończymy spłacać pożyczkę, „premier Rzeczpospolitej Polskiej, pan Donald Tusk będzie miał – jak będzie żył, czego panu premierowi życzę – 110 lat", a „prezydent Rzeczypospolitej Polski będzie miał 87 lat", więc kaskę będą musiały wykaszlnąć dzisiejsze 10-latki. W tej sprawie akurat trudno się z prezydentem nie zgodzić – ale ciekawszy był ciąg dalszy tego wywodu. Otóż Nawrocki, ramię w ramię z Glapińskim, ogłosili projekt „SAFE 0 proc.": w NBP jest tyle kasy, że można stamtąd wziąć te 185 dużych baniek i nie pożyczać od Unii na 45 lat, co by nas kosztowało drugie tyle. Niezaskakująco strona rządowa utopiła ideę w powodzi szydery – ale my, wsadzając kij w mrowisko, odnotujemy, że nie jest to oryginalny pomysł Glapińskiego. We wrześniu pisał o tym Kołodko. Wartość aktywów rezerwowych w NBP sięga biliona złotych; skoro już więc koniecznie musimy wydawać tyle na zbrojenia (Kołodko uważa, że nie musimy i my się z nim zgadzamy, ale klimat polityczny jest, jaki jest) – to lepiej wytachać kasę z NBP niż pożyczać na procent. Gorzej, że już się pojawiają głosy – np. w pytaniu dziennikarza TVP do prezydenta – „czy nie lepiej mieć 370 mld na zbrojenia"… I tak to militarny amok uczynił z nas wszystkich alkoholików w ciągu.

I jeszcze o zbrojeniach: „Polska prowadzi rozmowy z Francją i grupą najbliższych europejskich sojuszników w sprawie zaawansowanego programu odstraszania nuklearnego. Zbroimy się z przyjaciółmi, aby wrogowie nie ośmielili się nad zaatakować" – pochwalił się premier Tusk. Prezydent Nawrocki i jego koledzy z PiS też chcą broni atomowej, ale wolą z Ameryki. A plany dotyczące francuskich atomówek są „antyamerykańskie" – ogłosił geopolityczny myśliciel prawicy Mariusz Błaszczak. Pomijając już fakt, że tak amerykański, jak i francuski nuclear sharing oznacza, że inne państwo ustawia sobie na terenie naszego kraju swoją broń atomową i samo decyduje, czy, kiedy i w którą stronę ją odpalić, co nie jest idealnym rozwiązaniem z punktu widzenia „suwerenności" – to może to jest decyzja, którą Polacy powinni podjąć w referendum? Po rzetelnej i uczciwej kampanii informacyjnej? Według najnowszego sondażu za jest ponoć 50,9 proc. – choć zdecydowanie tylko 20,9. Może jest tu jakieś pole do przemówienia do rozsądku? A także przyzwoitości.

TVP ogłosiła, że „przyłącza się do bojkotu". Otóż w trakcie ceremonii otwarcia zimowych igrzysk paraolimpijskich w Mediolanie i Cortinie d'Ampezzo, kiedy defilować będą sportowcy z flagami Rosji i Białorusi, TVP pokaże tablicę: „Solidarni z Ukrainą. TVP sprzeciwia się uczestnictwu rosyjskich i białoruskich zawodników w rywalizacji sportowej". To im w pięty pójdzie. Tym, którzy mają pięty. W swoim pięknym uniesieniu telewizja publiczna wydała też oświadczenie: „Pragniemy prezentować zmagania sportowe osób z niepełnosprawnościami, a rywalizacja paraolimpijczyków jest dla nas ważnym elementem misji społecznej, jednak sport nie może usprawiedliwiać przemocy, zabijania i łamania praw człowieka". Serio? Zwłaszcza po wystąpieniu Hegsetha brzmi to cokolwiek komicznie.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Luty – marzec 2014 r.

Świętego Romaina

Według wytycznych prokuratora generalnego Seremeta użycie epitetu „żydowskie ścierwo" ma być ścigane z oskarżenia publicznego. Ogłaszam, że jestem żydowskie ścierwo i czekam na pościg.

cd. świętego Romaina

Na kanwie występów Protasiewicza: nie uważam bynajmniej, że Polską nie mogą rządzić lub też reprezentować jej pijane chamy. Gdyby powierzyć te role dżentelmenom, polityka stałaby się zajęciem ekskluzywnym. Politycy zaś nie reprezentowaliby większości społeczeństwa. Z urzędów trzeba jednak gonić precz takich polityków, którym po pijanemu czy na trzeźwo współczesne Niemcy kojarzą się z Hitlerem. Są to bowiem zwykli idioci, a też idioci polityczni i nacjonaliści. Heil Merkel!

Świętego Aubina

W wielu czasopismach Jan Kulczyk wykupił całe strony, na których zamieścił swoje zdjęcie. Nie wiadomo, co ono znaczy. W każdym razie ta fotografia nie stanowi reklamy maszynki do golenia. Może Kulczyk zamyśla jakiś straszny przekręt i kupuje sobie przychylność prasy? Może przeciwnie – uspokaja co do swoich zamiarów, sugerując poczciwe swoje kabotyństwo? Najpewniej mniema, że ludzie wytną zdjęcie i powieszą sobie na ścianie obok Matki Boskiej. Ludzie częściej proszą o coś Kulczyka niż Boga.

Świętego Karola Dobrego

Prawicowa „Rzeczpospolita" wciąż przechwala się, że jest najczęściej cytowaną gazetą w Polsce. To prawda: przeciętny cytat wygląda mniej więcej tak: „»Rzeczpospolita«" opublikowała rozporządzenie ministra ochrony środowiska zezwalające na zbieranie upadłych kasztanów".

Świętego Guenola

Gdy Azor dowiedział się o skupie psów po 12 zł za kilo, z poczucia poniżenia walnął na dywan dużą błyszczącą kupę. Ślizgałem się po niej jak łyżwiarze w Soczi. Azor boi się wychodzić, bo dziki biegają po ulicy. Wezmę jednego dzika do domu, to Azor chętnie schroni się na ulicy i będzie jak należy walić kupsko na chodniku sąsiadów. Nawet Daniszewska, której wszystko wolno, nie oddaje kału na perski dywan.

Świętego Mardi

Z 40-letnim opóźnieniem ukazała się w Polsce książka o Watergate „Wszyscy ludzie prezydenta" Bernsteina i Woodwarda. Nudna niestety, bo nie jest to historia afery i upadku Nixona, ale drobiazgowa kronika prac dziennikarzy pragnących się czegoś dowiedzieć. Jeden z autorów, Bob Woodward, był w latach 80. w Warszawie i odbyliśmy prywatne spotkanie w kawiarni śp. Hotelu Europejskiego. Gość miał samopoczucie światowej gwiazdy, sprawcy dymisji prezydenta. Cały czas pouczał mnie co do zasad amerykańskiego dziennikarstwa: że trzeba oddzielić fakty od komentarza, a wiadomości sprawdzać w trzech źródłach itp. Powiedziałem, że ja teraz nie jestem dziennikarzem, tylko rzecznikiem rządu, czyli źródłem – i poszedłem sobie. Ten Bob był bardziej nadęty i misjonarski niż inne gwiazdy dziennikarstwa, z którymi się wtedy spotykałem: Walter Cronkite, Barbara Walters, Oriana Fallaci. Oprócz Boba wielu nudziarzy odegrało znaczącą rolę polityczną: Hitler, Stalin, Gomułka, Adenauer, Gowin.

Świętego Cendresa

Minister Paweł Graś powinien nie robić afery hazardowej, wpisywać drogich zegarków do korzyści majątkowych, nie upijać się publicznie i nie robić burd. Inaczej premier Tusk zostanie gorzej niż sam, bo we dwójkę z panią Kopacz.

Świętej Coletty

Och, gdybym był młodym reporterem, to bym teraz pojechał na Ukrainę, bo układ sił jest tam skomplikowany, ciekawy. Dobrze jest więc nie być młodym reporterem i mieć święty spokój.

Moim zdaniem sprawa Ukrainy potoczy się w taki oto sposób. Tylko Rosja używa wojska na Krymie. Ukraina ani Zachód nie wystąpią zbrojnie w obronie Krymu, jest on więc stracony dla Ukrainy. Zachód w zamian zapewni Rosji drobne przykrości i uznając aneksję Krymu za fakt dokonany, negocjować będzie z Kremlem integralność reszty Ukrainy. Rosja zobowiąże się do nieingerencji, ale zobowiązania nie wykona. Wschodnie i południowe części Ukrainy Moskwa będzie destabilizować, zapewniając, że nie macza w tym palców. Niedługo osłabi tym władze w Kijowie i osiągnie swój cel: nieintegrację Ukrainy z Unią Europejską. Europa Zachodnia nie zechce bowiem wchłaniać w obręb swoich struktur państwa rozchwianego, wciąż zagrożonego rozpadem. Gdzie Rzym, gdzie Krym.

Cd. świętej Coletty

Polityka Rosji wobec Ukrainy napędza wyborców PiS-owi. Rozpoczynający się rozruch gospodarki odbierze natomiast głosy Kaczyńskiemu. Zobaczymy, który czynnik będzie trwalszy. Daniszewska powiada, że jest wrogiem patriotyzmu. Uprawiając czynny antypatriotyzm, mogłaby zarazić Kaczyńskiego którąś ze swoich chorób.

Świętej Felicity

Z okazji Dnia Kobiet życzę im wszystkim męskości zadowalającej homoseksualną większość mężczyzn. ❑

LISTONOSZ DONIÓSŁ

W czarnej dupie

SAFE, SAFE, SAFE... Cała ta akcja przypomina kopanie studni, gdy już się pali. Wojna w Ukrainie trwa od czterech lat, aż wreszcie ktoś wpadł na pomysł, żeby krzyknąć „pobudka!" i to nie tylko w Warszawie, ale i w Brukseli. Alleluja!

Najgorsze w tej sytuacji nie jest pitolenie pisiarni, bo trudno brać poważnie to, co wygadują, a niepewność tego, co zrobi Pierwszy Kibol RP. W dodatku nie ma w jego otoczeniu nikogo, kto by mu parę prostych spraw wyjaśnił, a Sikorskiego ani tym bardziej Tuska nie będzie przecież słuchał, bo jak by to wyglądało. I tak oto przez brak autografu jednego facecika mamy szansę po raz kolejny znaleźć się w czarnej dupie.

WALDEMAR MIKSA, GDAŃSK

Społeczeństwo wykluczone

Po lekturze ostatnich numerów „NIE" mam bardzo smutne myśli na temat tego, co nas czeka. To państwo nie daje nam absolutnie nic i najwyraźniej nie zamierza zadbać o dobrostan obywateli. Premier zajmuje się jakimiś pierdołami w typie Rady Przyszłości (...), z której my, obywatele, będziemy mieć pożytek jak z zeszłorocznego śniegu (...). Jak czytam, ta cała Rada Przyszłości ma (...) doprowadzić Polskę do stanu kwitnącej potęgi technologicznej. Na zdrowy rozum to powinna ona zajmować się nie tym, czym zajmować się ma, ale przewidywaniem tego, co stanie się z ludźmi w wyniku rozwoju tych technologii i jak zapobiec ich wykluczeniu.

Bo nietrudno przewidzieć, że to wszystko zmierza do coraz większego wykluczenia znacznej części społeczeństwa. W marketach potrzeba coraz mniej ludzi na kasy, bo coraz więcej powstaje kas samoobsługowych. Kiedyś chodziło się do banków, teraz wszystko można zrobić przez internet i w bankomacie. Proszę zwrócić uwagę, ile placówek bankowych zniknęło w stosunku do sytuacji sprzed 20 lat. Poczty się likwiduje, a te co są, świecą pustkami, bo większość rzeczy załatwiamy przez internet. Nawet artykuły w gazetach pisze już sztuczna inteligencja. A w ogóle to jest mniej gazet i czasopism drukowanych, bo wszystko można przeczytać w internecie. Jak tak dalej pójdzie, to coraz więcej pracowników będzie niepotrzebnych. Postęp stał się naszym błogosławieństwem i przekleństwem zarazem.

Z czego będą żyć ludzie, dla których zwyczajnie zacznie brakować miejsca na rynku pracy? Wygląda na to, że państwo polskie nie ma im nic do zaoferowania. I tym powinna zająć się Rada Przyszłości. A dochód obywatelski staje się koniecznością. W swoich artykułach, skądinąd świetnych, Anna Grodzka pisała, że jest to jak najbardziej możliwe. A na przeszkodzie stoją właściwie tylko ideologiczne uprzedzenia premiera i jego otoczenia.

JOANNA Z WARSZAWY

Rys. TOMASZ WIATER

eprasa.pl cc7ea89864

Człowiek z betonu

O religii fundamentu w państwie zadłużonych

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Przyglądając się współczesnej Polsce, zgiełkowi partii, wyznań, przekonań i fobii, dochodzi się do wniosku, że kraj ten jest jak ogromne targowisko idei. Jedni niosą sztandary z napisem „wiara", drudzy z napisem „ateizm", inni – „rodzina", jeszcze inni – „wolność od rodziny", kolejni – „tradycja", następni – „nowoczesność". Jedni cytują Pismo, drudzy konstytucję, trzeci X.

Można się tu pokłócić o wszystko: o historię, o płeć, o podatki, aborcję, Kościół w szkołach, kredyty frankowe i o to, kto naprawdę płaci za inflację. Były Żyd poróżni się z konwertowanym na Żyda, wyznawca Brauna nie poda ręki miłośnikowi Czarzastego, słuchacz Radia Maryja nie zrozumie obserwatora OnlyFans, a obserwator OnlyFans nie zrozumie samego siebie.

A jednak. Istnieje w Polsce wartość wyższa, nadrzędna, ponadideologiczna. Coś, co nie dzieli, lecz łączy. Na to nie obraża się nikt – ani lewica, ani prawica, ani centrum, ani peryferia. Coś, czego nikt nie podaje w wątpliwość, nikt nie ironizuje, nie próbuje obalić. Tą wartością, proszę Państwa, jest beton!

Architekt polskiej duszy

Ma on swoje głębokie historyczne uzasadnienie. Nigdy nie byliśmy narodem stepowym, który zwinie jurty, zarzuci tobołki na wielbłądy i ruszy dalej. Słowianin nie jest Eskimosem, nie przemieszcza się za foką ani mamutem. Słowianin szukał miejsca, gdzie można postawić ścianę i powiedzieć: „tu jest moje".

No i przyszedł on, Kazimierz III Wielki, który „zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną". W rzeczywistości był to wstrząs cywilizacyjny. Król nie tylko zmienił materiał budowlany. On zmienił duszę narodu. Kazimierz budował zamki, mury, warownie, a wraz z nimi – w Polakach przekonanie, że to, co prawdziwe, musi być ciężkie. Że trwałość jest cnotą najwyższą. Kazimierz Wielki zaszczepił w nas religijność betonową. Jeszcze nie było betonu zbrojonego, jeszcze nie było wielkiej płyty, ale jednak.

Oczywiście rozwój betonizmu – jak wszystkiego w tamtych czasach – nie byłby możliwy bez strategicznego partnerstwa: sojuszu krzyża z tronem. Prekursorami nowego wyznania byli naturalnie księża. Trudno było przekonać chłopa z XIV w., zwłaszcza po łacinie, że nad ołtarzem unosi się Duch Święty, a w tabernakulum spoczywa realna obecność. To wymaga subtelności metafizycznej. Ale jeśli postawi się dwie wieże proste jak ołówki, widoczne z 50 km, do tego dołoży strzeliste gotyckie okna, kamienne przypory i dzwon, który wstrząsa powietrzem, wówczas nie ma wątpliwości: w tych murach mieszka ktoś poważny. Betonowy Absolut.

Polska kielnia dźwiga świat

Nikt tego nigdy nie powiedział wprost – że prawdziwą siłą Kościoła nie są księgi, tylko mury. Że to nie teologia, lecz grubość ściany budzi respekt. Naród patrzył i rozumiał. Skoro Bóg mieszka w kamieniu, to kamień jest argumentem ostatecznym. Za wskazaniem Kościoła zatem budowano. Do dziś ambicją każdego proboszcza jest pozostawić po sobie przynajmniej jeden kościół. Budowanie urosło do cnoty i sensu życia. Z czasem tak głęboko wrosło w tożsamość, że dziś jesteśmy narodem budowlańców. Polak zbuduje wszystko. Drogi w Libii? Proszę bardzo. Cukrownię w Turcji? Już stoi. Tunel w Norwegii? Sprawdzony. Osiedle w Dublinie? Myślisz, że kto wylewał fundamenty?

Budownictwo współczesnej Unii Europejskiej – powiedzmy to uczciwie – leży w sensie dosłownym na polskim zbrojeniu. Bez polskiej kielni połowa zachodnich miast byłaby nadal w fazie „wizualizacji". A Nowy Jork? Gdyby nie polska łopata, drabina i wiadro z zaprawą, Manhattan dawno obróciłby się w perzynę.

Drapacze chmur może projektują Amerykanie, ale ktoś musi wnieść cegłę na dwudzieste piętro. Niemcy robią samochody. Szwedzi – meble i prezerwatywy. Włosi – pizzę. Ale żaden z nich nie miałby gdzie tej pizzy jeść, gdzie tej prezerwatywy użyć ani gdzie zaparkować tego samochodu, gdyby nie polski budowlaniec.

Śpiew z betoniarki

To nie dzieje się w intelektualnej próżni. Mamy przecież solidną żelbetową podbudowę kulturalną. Najpierw wokalna brygada wykonawcza: Trojanowska z „Podaj cegłę" – manifest robocizny śpiewanej – oraz Kaczmarski z „Murami", hymnem rozbiórkowym i zarazem najważniejszą „murarską" pieśnią III RP. Wcześniej repertuar planowy: „Budujemy betonowy nowy dom"; „Dziś rano twe dłonie dziewczęce mieszały i wapno i piach"… Z epoki sześciolatki pobrzmiewa jeszcze optymistyczne: „tam rośnie dom, tam rośnie gmach z godziny na godzinę".

Kinematografia? W Hollywood nikt by nie wpadł na pomysł, żeby herosem masowej wyobraźni uczynić inżyniera od trasy i betoniarki. U nas powstał Stefan Karwowski – człowiek, który wybudował wszystko od Dworca Centralnego po Trasę Łazienkowską. „Czterdziestolatek" to przecież nie był serial obyczajowy. To był narodowy epos infrastrukturalny. Inżynier Karwowski walczył z niedoborem cementu i wygrywał.

Mamy też Mateusza Birkuta – murarza, przodownika pracy, który stał się pomnikiem z marmuru, zanim zdążył się zestarzeć. „Człowiek z marmuru" Wajdy nie był filmem o budowaniu ścian, lecz legendy. W Polsce nawet bohatera wylewa się z materiału trwałego, a potem równie starannie kuje jego pęknięcia.

Jeszcze wcześniej – „Przygoda na Mariensztacie". Warszawa się odbudowuje, murarki śpiewają, cegła niesie nadzieję. A potem przyszły „Alternatywy 4" – blok jako wszechświat. Klatka schodowa jako metafizyka. Budownictwo mieszkaniowe jako rama całej narracji.

No cóż, Amerykanie mają westerny, Francuzi – filmy o miłości, Włosi – potężny nurt kina mafijnego. A my? My mamy kino o budowaniu. Polski budowniczy to postać metafizyczna.

Architektura zbawienia

Przejdźmy więc do teraźniejszości. Do epoki dojrzałego betonizmu, w której religia fundamentu przestała być metaforą, a stała się systemem powszechnym. Dziś to właśnie ona spaja nas w jeden naród – bardziej niż hymn, konstytucja, wspólne kibicowanie.

Żyjemy w państwie, w którym obowiązuje Kult Metra Kwadratowego, Wiara w Kredyt oraz Wyznanie Własności. Polska jest nadal w budowie – to nasze najtrwalsze hasło narodowe. Cena metra kwadratowego podłogi w Warszawie dobija już do 30 tys. zł, ale to nikogo nie zniechęca.

Jeśli coś jest drogie, to znaczy, że jest poważne. A jeśli bardzo drogie – to musi być zbawcze.

Nie ma drugiego kraju w Europie, w którym słowo „mieszkanie" wywołuje tak egzystencjalne napięcie. Samochód można zmienić. Telefon można zgubić. Pracę można stracić. Małżeństwo – no, bywa. Ale mieszkanie? Mieszkanie musi być. Nawet jeśli oznacza to 30 lat oddawania życia bankowi w miesięcznych ratach równych. Polak nie wierzy w giełdę, system emerytalny, stabilność państwa, system podatkowy. Polak nie wierzy nawet drugiemu Polakowi. Ale wierzy w ścianę. Ściana nie znika po wyborach, nie ucieka za granicę, nie zmienia oprocentowania. W efekcie mamy społeczeństwo, w którym 80 proc. ludzi chce mieć własność, a wynajem traktowany jest jak porażka życiowa. Brak mieszkania to wstyd.

Na czym opiera się złudne przekonanie, że własne mieszkanie to bezpieczeństwo?

Na koniec pierwszego kwartału 2025 r. w Polsce było około 2,19 mln aktywnych umów kredytów mieszkaniowych o łącznej wartości blisko 0,5 bln zł. To równowartość około miliona mieszkań po 500 tys. zł każde.

Średnia kwota kredytu mieszkaniowego przekracza dziś 487 tys. zł. Łączne zadłużenie gospodarstw domowych wynosi około 788 mld zł, z czego 68 proc. stanowią kredyty hipoteczne. Oznacza to, że większość prywatnego długu Polaków nie dotyczy konsumpcji, lecz zakupu mieszkań.

Najczęściej wybierany okres spłaty to 30 lat. W praktyce oznacza to, że dla wielu osób zobowiązanie wobec banku trwa przez większą część dorosłego życia od momentu uzyskania stabilnej pracy do wieku emerytalnego.

Przy kredycie w wysokości 500 tys. zł, całkowita kwota spłaty po 30 latach, przy typowym oprocentowaniu, wynosi około 1,2 mln zł. Realny koszt mieszkania jest więc ponad dwukrotnie wyższy niż jego cena nominalna.

Kiedy mieszkanie przestanie być towarem?

Ale czy to źle? No nie. Wprost przeciwnie – z punktu widzenia historii to wręcz logiczne. Naród, który przez wieki wierzył w mur, nie porzuci wiary dlatego, że oprocentowanie wzrosło o dwa punkty. Co więcej, ta tendencja utrzyma się jeszcze co najmniej przez kolejne 20, może 25 lat. Przy obecnym tempie budownictwa, przy ujemnym przyroście naturalnym i przy rosnącym nasyceniu mieszkaniami Polska dojdzie do europejskiej średniej mniej więcej w połowie stulecia. Nastąpi zrównanie podaży z popytem. Wtedy lewica będzie mogła z powagą urealnić hasło „mieszkanie prawem, nie towarem". Bo dopiero gdy towar przestaje być rzadki, można udawać, że jest prawem. Do tego czasu deweloperzy i bankierzy mogą spać spokojnie. Fundament jest. Popyt lękowy działa. Wiara trwa. Zadłużeni hipotecznie? Ci mogą drżeć o każdą ratę.

Tu dochodzimy do niewygodnej obserwacji. Społeczeństwo zadłużone to społeczeństwo zdyscyplinowane. Kredyt hipoteczny jest jednym z najskuteczniejszych narzędzi stabilizacji, jakie wymyśliła nowoczesność. Nie potrzeba kordonów policji, gdy istnieją harmonogramy spłat. Nie potrzeba dekretów, gdy przychodzi bankowy SMS.

Człowiek obciążony 30-letnim zobowiązaniem rzadziej ryzykuje. Rzadziej się buntuje. Rzadziej zmienia pracę, miasto, kraj. Bo najpierw jest termin przelewu. Najpierw jest rata. A dopiero potem – godność, gniew, ambicja. W świecie hipotek stabilność społeczna nie wymaga pałki. Wystarczy umowa kredytowa.

Modlitwa zadłużonych

Ale jest jedno realne zagrożenie dla tej szczęśliwości: rakiety Putina. Wystarczy, że 10 proc. z nich trafi w cele w Polsce i cały nasz krajowy „nowy dom" przechodzi w tryb: odgruzowywanie. Żadne koreańskie Panthery nie zasłonią dachu, gdy z nieba polecą argumenty balistyczne.

Mam wrażenie, że ani władza, ani lud – zajęci chóralnym „niech się mury pną do góry" – nie dopuszczają do siebie oczywistości: bezpieczeństwo Polski zaczyna się od pokoju na wschodzie, nie od defilady faktur na zbrojenia.

Dlatego w takiej sytuacji pozostawiam wam tylko jedno – modlitwę. Módlcie się:

Wierzę w Beton Wszechmogący,
Stwórcę fundamentów i kondygnacji,
w mur trwały, widzialny i aktem notarialnym potwierdzony.
Wierzę w jedyny i niepodzielny Akt Własności,
który zrodził się z kredytu,
a współistotny jest z księgą wieczystą.
Wierzę w strop zbrojony,
który nie ugnie się pod ciężarem historii.
Amen (w systemie rat malejących).

ROBERT JARUGA

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Markowi Suskiemu niełatwo było być Markiem Suskim. Musiał odgrywać dwie role: partyjnego głupka, z którego wszyscy drą łacha, oraz poważnego polityka, na którego co cztery lata głosuje wystarczająco dużo ludzi, żeby mógł zostać posłem.

Jeżeli Marek Suski zbyt długo nie zrobił jakiegoś głupstwa (czy raczej głupoty), prezes Kaczyński patrzył nań z wyrzutem, a rękami czynił gest zachęty: no, wygłup się, chłopie, bo się nudzę, bo nie ma z kogo się śmiać, bo naokoło wszyscy tacy sztywni jak kij, który połknął Morawieckiego.

No to co jakiś czas Marek Suski spełniał te oczekiwania: a to zapytał, jak się nazywa caryca Katarzyna, a to stwierdził, że z lotniska w Radomiu jest bliżej na wakacje niż z Okęcia, a to Kłopotkową wziął za córkę Kłopotka. Suski zaciskał zęby i wygłupiał się ku uciesze gawiedzi. Ludzie, patrzcie, znów wiejski głupek zrobił z siebie wała!

Dlatego gdy kilka dni temu prezes spojrzał na Marka jak spragniony zabawy spaniel na swojego pana, Marek kiwnął głową i gdy tylko Ameryka napadła na Iran, wypalił: „Kupować trzeba broń ze Stanów Zjednoczonych, bo, jak widać, ona jest skuteczna, precyzyjna".

Kątem oka zobaczył, jak Kaczyński pokazuje w uśmiechu prawie wszystkie zęby.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl cc7ea89864

I kto tu jest winien

Napaść USA i Izraela na Iran doskonale ilustruje zachodnią hipokryzję

Odpowiedzialność za to, co dzieje się w Iranie, ponoszą Stany Zjednoczone pospołu z Izraelem. I nie tylko dlatego, że zaatakowały ten kraj i uśmierciły jego przywódcę. To głównie dzięki USA przez długie lata utrzymywał się w Iranie represyjny system, tak teraz przez Amerykanów krytykowany; to Amerykanie obalili tam demokrację i doprowadzili w efekcie do rządów ajatollahów. Warto o tym pamiętać, rozważając dzisiejszy konflikt.

Izrael znów atakuje

Iran znalazł się na amerykańskim celowniku w momencie, gdy rozpoczął prace nad wzbogaceniem uranu, co z kolei mogło umożliwić skonstruowanie broni jądrowej – a to, niezaskakująco, bardzo nie podoba się Izraelowi. A, jak powszechnie wiadomo, Stany Zjednoczone na Bliskim Wschodzie kierują się w większym stopniu interesem izraelskim niż własnym.

Władze w Teheranie nie podjęły takich działań z powodu jakichś mocarstwowych ambicji, lecz w reakcji na posiadanie takiej broni przez Izrael. W ten sposób Izrael niejako sprowokował – a można by rzec nawet: wymusił – zapoczątkowanie przez Iran programu atomowego.

Iran, w sposób bardziej widoczny i konsekwentny niż większość krajów arabskich, wspiera niepodległościowe dążenia narodu palestyńskiego. Należy do tych państw Bliskiego Wschodu, które nie uznają państwa izraelskiego, i nie chce wchodzić z nim w jakiekolwiek polityczne czy biznesowe koneksje. Dlatego dla Izraela stał się wrogiem nr 1. W Teheranie wyciągnięto z tego odpowiednie wnioski: skoro tak, to i my możemy mieć broń atomową. Zapamiętano, że kiedy Irak zrezygnował z programu nuklearnego, dość łatwo padł amerykańskim łupem.

Faktem jest, że przez wiele lat Iran, opisywany przez Zachód jako wielkie zagrożenie, nie był bombardowany. Teraz jednak zmienił się klimat w stosunkach międzynarodowych. Rząd Binjamina Netanjahu doszedł do wniosku, że skoro zaistniało przyzwolenie na używanie siły wobec innych państw, to bezkarnie może bombardować Iran. Kiedy pierwszy atak nie doprowadził do zniszczenia irańskiego potencjału nuklearnego – należało go powtórzyć.

Tym razem chodzi jednak bardziej o klasyczny pokaz siły i dalsze osłabienie irańskiego konkurenta. Osiągnięto przy tym cel w postaci wyeliminowania ajatollaha Chameneiego. Spotkało się to z poparciem ze strony irańskiej politycznej emigracji. Entuzjazm wyraził również przyjaciel Trumpa, prezydent Argentyny Javier Milei, który przy okazji ogłosił, że strategiczny sojusz z USA stanie się kluczowym punktem argentyńskiej polityki – jeszcze bardziej niż dotychczas. Raduje się także gruzińska opozycja, mająca rządowi za złe przyjęcie wyważonego – a nie jednoznacznie proamerykańskiego – stanowiska wobec agresji na Iran.

Jednocześnie w wielu krajach mają miejsce protesty przeciwko zabójstwu Chameneiego. Często nie chodzi o poparcie dla jego reżimu – ale głównie o to, że przez szyitów uważany był za duchowego przywódcę; to rola porównywalna z tym, kim jest papież dla 1,4 mld katolików.

Światowa obłuda

Mimo iż istnieje wyraźna analogia pomiędzy wojną na Ukrainie i w Iranie – reakcje na te wydarzenia są zgoła różne, co stanowi kolejny dowód na królującą wśród zachodnich polityków i komentatorów hipokryzję.

Tylko nieliczni zajmują antywojenne stanowisko – jak hiszpański premier Pedro Sánchez, który kategorycznie potępił jednostronną akcję militarną, podkreślając, że przez nią ład międzynarodowy staje się bardziej nietrwały i wrogi, co wprawiło Donalda Trumpa w stan śmiertelnego oburzenia i skłoniło go do „zerwania wszelkich kontaktów handlowych" z Hiszpanią. Inni zachodni politycy – i Unia Europejska jako taka – nawet nie próbują ukrywać, że świat mierzy się podwójną miarą.

O ile atak Rosji został powszechnie potępiony jako agresja, a Putin określany jest mianem zbrodniarza, to Stany Zjednoczone i Izrael nie są nazywani agresorami, a Trump i Netanjahu – mordercami.

Podobnie wygląda reakcja na odwetowe irańskie ataki na Izrael i amerykańskie cele na Bliskim Wschodzie. Iran poddawany jest kategorycznej krytyce, podczas gdy bombardowanie rosyjskich obiektów przez – będącą w analogicznej sytuacji – Ukrainę przedstawiane jest jako realizacja naturalnego prawa do samoobrony. Zdaniem unijnej komisarz ds. polityki zagranicznej Kai Kallas, irańskie ataki odwetowe są niewybaczalne – w odróżnieniu od ukraińskich, które są wybaczalne jak najbardziej.

W enuncjacjach unijnych polityków pojawiają się wezwania do rozwiązywania sporów w drodze dialogu. Bardzo pięknie, ale przy okazji wojny na Ukrainie już nikt nie mówi o negocjacjach; słyszymy tylko o „staniu jednoznacznie po stronie Ukrainy", wspieraniu jej – nie tylko w wymiarze dyplomatycznym, lecz także finansowym, a przede wszystkim militarnym, o konieczności dławienia Rosji przez wprowadzanie wciąż nowych sankcji.

Chciałoby się zapytać: czy nie należałoby wyposażyć Iranu w broń przeciwlotniczą, a na USA i Izrael nałożyć sankcji?

– Nie jest możliwe sprzeciwianie się rosyjskiej agresji bez wyrażania obiekcji co do podwójnych standardów i hipokryzji – twierdzi profesor Uniwersytetu w Cambridge Marc Weller i trudno mu odmówić racji.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Między Dwightem i Donaldem

Krótka historia przyjaźni amerykańsko-irańskiej

Prezydent USA nie dostał pokojowego Nobla, więc obraził się na pokój i w dwa miesiące nowego roku zaczął dwie wojny. To oczywiście brzmi groteskowo – ale powiedzmy sobie szczerze: Trump wygląda głupiej niż jego poprzednicy, ale merytorycznie za bardzo się od nich nie różni. Dzieje stosunków USA–Iran znakomicie to ilustrują.

Pozwólcie na krótką rekapitulację – w końcu ktoś dziś ma w głowie historię ostatnich ośmiu dekad?

W 1941 r., decyzją Churchilla i Stalina, proniemieckiego władcę Iranu Rezę Szaha Pahlawiego zastąpił jego 22-letni syn, Mohammad Reza Pahlawi. Gówniarz okazał się zepsuty, próżny i chciwy, co jak najbardziej sprzyjało zachodnim interesom, więc po wojnie został cennym sojusznikiem USA. Irańskie złoża naturalne były w rękach brytyjskich firm, zwłaszcza AIOC (obecnie BP), która bezwzględnie doiła Irańczyków i ich zasoby, oszukując gospodarzy nawet na żałosnych 25 proc. zysków, które umowa im gwarantowała.

Warunki pracy były urągające, a arogancja Brytów tak wielka, że kontrolnie odrzucili propozycję renegocjacji kolonialnego układu – co wkurwiło lud i doprowadziło do zwycięstwa wyborczego Frontu Narodowego Mohammada Mosaddegha: szerokiej prodemokratycznej koalicji startującej z hasłami odzyskania irańskich zasobów naturalnych dla Irańczyków. Front Narodowy zdobył większość w Madżlesie (irańskim parlamencie) i uchwalił nacjonalizację złóż. Mosaddegh został bohaterem narodowym, a chwilę później premierem – po czym przystąpił do szeroko zakrojonych reform społecznych, z reformą rolną na czele.

W tym czasie świeżo wybrany prezydent USA Dwight D. Eisenhower mianował sekretarzem stanu Johna Fostera Dullesa, a szefem CIA jego brata Allena – dwóch antykomunistycznych oszołomów, którzy przekonali prezydenta, że Mosaddegh musi został obalony. Przeprowadzona w 1953 r. operacja AJAX stała się wzorem dla późniejszych akcji CIA w różnych krajach świata: obejmowała wymierzoną w demokratyczny rząd kampanię czarnej propagandy, przekupywanie polityków, wojskowych, urzędników, prowokacje z użyciem agentów, opłacanie przywódców zamieszek, a także wytypowanie nowego lidera państwa;

wszystkie brudne chwyty, znane później np. z Chile. W 2013 r. CIA oficjalnie przyznała się do odpowiedzialności za irański zamach stanu z 1953 r.

Doprowadził on do obalenia i aresztowania Mosaddegha, stracenia wielu jego sojuszników, odwrócenia postępowych reform i przywrócenia dominującej roli zachodniego kapitału.

Szach Mohammad Reza Pahlawi powrócił z krótkiego uchodźstwa i objął rządy, które nie zapisały się w historii Iranu najlepiej.

Początkowo Pahlawi próbował wykorzystywać potężne irańskie bogactwa naturalne do poprawy życia prostych ludzi – mówił nawet o sobie, że jest socjalistą – ale szybko uległ urokowi amerykańskiego kapitalizmu. Najpierw Kennedy wcisnął mu „Białą rewolucję": pełne otwarcie rynku dla amerykańskich firm. Później Nixon wkroczył z „doktryną Nixona". Pahlawi nakupił amerykańskiej broni za 13 mld (ówczesnych) dol. – co uczyniło Iran ochroniarzem amerykańskich interesów w regionie. Niezadowolenie klasy robotniczej, która zaczęła protestować przeciwko obłędnym wydatkom militarnym i domagać się udziału obywateli w zyskach z rosnących cen ropy, zostało krwawo stłumione – z błogosławieństwem USA.

Po przejściowym zauroczeniu ideą zachodniej demokracji szach wyewoluował w zwyczajnego dyktatora, który wprowadził system monopartyjny i ogłosił, że każdy, kto nie zapisze się do jego Partii Nowego Iranu, jest zdrajcą i jego miejsce jest w więzieniu. W realizacji tej polityki wydatnie wspierała go szkolona przez CIA i MI6 tajna policja SAWAK – takie irańskie gestapo specjalizujące się w porwaniach i torturach. Do jego repertuaru należało używanie elektrycznych poganiaczy bydła, zakrapianie nozdrzy przesłuchiwanych kwasem solnym, wprowadzanie potłuczonego szkła i wlewanie wrzątku do odbytu, przywiązywanie odważników do jąder – choć tradycyjne metody, jak wyrywanie paznokci, też były w użyciu, czasem rozszerzone o zęby. W takim właśnie Iranie – pozostającym wiernym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych – wydarzyła się rewolucja 1979 r.

Która – co warto wspomnieć – nie zaczęła się jako rewolucja islamska; obok wyznawców ajatollahów przeciwko reżimowi protestowali socjaliści i komuniści. Niektórzy badacze wskazują, że CIA miała swój udział w przeważeniu tego społecznego protestu w kierunku ekstremizmu religijnego, który uznała za mniej groźny od sił lewicowych, potencjalnie skłonnych do współpracy z ZSRR.

Na rzecz tej tezy mogą świadczyć dwa dziwaczne wydarzenia z postrewolucyjnej dekady.

Pierwsze – to trwający 444 dni kryzys związany z zajęciem amerykańskiej ambasady przez irańskich studentów. A w zasadzie jego koniec.

4 listopada 1979 r. nieuzbrojeni studenci wdarli się na teren ambasady USA w Teheranie i wzięli 66 zakładników, domagając się od prezydenta Cartera odesłania do Iranu szacha, który otrzymał azyl w USA. Carter był z początku przeciwny udzieleniu azylu – właśnie dlatego, że obawiał się antyamerykańskich nastrojów i zagrożenia dla personelu ambasady; nie chciał też wywoływać wrażenia, że USA chcą znów mieszać się w wewnętrzne sprawy Iranu, może przywrócić szacha na tron. Prezydent był skłonny odesłać Pahlawiego do kraju, żeby stanął przed sądem; zmianę decyzji wymusili na nim David Rockefeller i Henry Kissinger. Trwający ponad 14 miesięcy kryzys – w połączeniu z nieudaną operacją odbicia zakładników – ostatecznie dobił szanse Cartera na tzw. październikową niespodziankę, czyli odbicie w sondażach w ostatniej chwili przed wyborami. Co najciekawsze – zadbał o to sztab kampanii Ronalda Reagana, który załatwił sobie z Chomeinim, że zakładnicy nie zostaną wypuszczeni przed wyborami.

Pisał o tym legendarny reporter śledczy Robert Parry, odkrywca afery Iran–Contras (o niej za chwilę): latem i jesienią 1980 r. w Paryżu i Madrycie szef kampanii Reagana William Casey obył szereg spotkań z przedstawicielami nowych władz irańskich, obiecując, że nowa administracja zgodzi się na dostarczanie Iranowi części zamiennych do amerykańskiej broni (tej, na którą miliardy wydawał Pahlawi), niezbędnych do sprawnego działania sprzętu w toczącej się wówczas wojnie Iran–Irak. W zamian chciał niewypuszczenia zakładników przed wyborami. Jakoś tak się złożyło, że zostali uwolnieni w dniu zaprzysiężenia Reagana na prezydenta.

No i na koniec muszę wspomnieć o aferze Iran–Contras, choć podejrzewam, że nasi Czytelnicy dobrze ją pamiętają. A zatem w skrócie: w 1986 r. wspomniany już Robert Parry ujawnił, że administracja Reagana za pośrednictwem Izraela sprzedawała broń Iranowi, a uzyskane w ten sposób środki przeznaczała na wspieranie nikaraguańskich antykomunistycznych bojówek Contras. Iran był wówczas uznany przez USA za państwo terrorystyczne i objęty sankcjami. Na czarnej liście byli też Contras, słynni z morderstw, tortur, gwałtów, podpaleń, porwań, a także przemytu kokainy do USA; Kongres zabronił rządowi finansowego wspierania tej organizacji w tzw. poprawce Bolanda. W zamian za możliwość zakupu broni Iran obiecał zwolnienie amerykańskich zakładników porwanych w Libanie przez Hezbollah.

Kiedy afera wypłynęła, Reagan najpierw szedł w zaparte, a kiedy dłużej się już nie dało, wygłosił oświadczenie tak kuriozalne, że Trump by się go nie powstydził: „Kilka miesięcy temu powiedziałem Amerykanom, że nie wymieniłem broni na zakładników. Moje serce i najlepsze intencje nadal mówią mi, że jest to prawdą, ale fakty i dowody wskazują, że nie jest"…

Fakt, iż nie wpłynęło to na jego popularność, zyskał Reaganowi przydomek „teflonowego prezydenta".

Dobra wiadomość jest taka, że – w odróżnieniu od Reagana – Trump teflonowy nie jest. Jego notowania szorują po dnie i jego irańska awantura nie cieszy się popularnością. 59 proc. Amerykanów potępia decyzję o ataku, 54 proc. twierdzi, że w jej wyniku Iran stanie się większym zagrożeniem dla USA, 60 proc. uważa, że Trump nie ma jasnego planu działania, a 62 sądzi, że powinien był uzyskać zgodę Kongresu – i tylko 27 proc. uważa, że Stany Zjednoczone podjęły wystarczające wysiłki dyplomatyczne przed użyciem siły militarnej.

Myślicie, że Amerykanie kiedyś nauczą się nie wybierać zdemenciałych kowbojów z chęcią do rozróby?

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

eprasa.pl cc7ea89864

ETYKA BEZBOŻNA

Rozważanie nad Obrzezaniem Pańskim

Smutek prawa międzynarodowego

Możemy cieszyć się lub nie, że Trump samowolnie porwał Maduro, a Netanjahu ustrzelił Chameneiego. Dla rodzin ofiar tych krwawych dyktatorów to z pewnością wielka radość, ale dla rozważnych umysłów niekoniecznie. Albowiem ceną za to „szeryfowanie", czyli zaprowadzanie sprawiedliwości z pogwałceniem prawa międzynarodowego, jest erozja jego autorytetu. A ten przecież i tak nie jest zbyt wielki. Chciałbym dziś zastanowić się z Wami nad tym, ile warte jest prawo międzynarodowe i do czego ono w ogóle może służyć.

Ech, prawo. Chciałoby się, żeby było jak jakiś kodeks moralny, definiujący dobro i zło, a następnie za to zło karzący, dobro zaś nakazujący i za jego czynienie nagradzający. Jakże proste byłoby wtedy nasze życie. Posłuszeństwo prawu byłoby wszystkim, czego trzeba, by uniknąć przykrości na ziemi, a po śmierci trafić do raju w nagrodę za prawe życie. Niestety, niczego takiego na świecie nie ma i być nie może. Nie da się dobra wymusić nakazem, a zła zwalczać zakazem. Co nie zmienia faktu, że zakazy i nakazy, jeśli są mądre i etycznie uzasadnione, trochę pomagają. No a skoro pomagają, to zawsze znajdą się tacy, którzy swoje przekonania moralne chcieliby innym narzucać poprzez represyjną normę prawną, twierdząc, że to wcale nie o ich przekonania chodzi, lecz jakieś samo przez się zrozumiałe „prawo naturalne" lub boży rozkaz niepodlegający dyskusji. Od moralnych uniesień do zamordyzmu prowadzi jeden krok.

Życie moralne ma to do siebie, że ludzie odpowiadają za swoje czyny pod warunkiem, że są wolni. Jeśli zabroni się im wszystkiego, co naganne, a nakaże wszystko, co piękne, to zniknie wolność, a wraz z nią moralność. Tym samym gdyby uznać prawo stanowione przez państwo za kodyfikację „prawa moralnego", to zamiast wzmacniać moralność, prawo by ją zniszczyło. Oto wielki paradoks prawa. W praktyce rozwiązuje się go poprzez wskazywanie warunków, jakie spełniać musi represyjny przepis prawa, aby można go było ustanowić z pożytkiem dla narodu i z poszanowaniem dla ustroju łączącego rządy prawa z gwarancjami swobód osobistych i praw politycznych obywateli.

Najprostszy z tych warunków to faktyczna zdolność państwa do egzekwowania zakazu. I tak na przykład, kłamstwo nie jest zakazane, bo nie da się upilnować ludzi, aby nie kłamali. Drugi warunek to klarowność kryteriów ustalających, co jest, a co nie jest złamaniem prawa. W przypadku kłamstwa byłoby to arcytrudne, nie mówiąc już o nieosiągalnym bodajże autorytecie sędziego oceniającego, czy w danym wypadku doszło do kłamstwa, a nie jakiejś pomyłki bądź usprawiedliwionego ograniczenia czyjegoś dostępu do prawdy. Trzeci warunek to posiadanie przez rząd mandatu społecznego do ingerowania w sprawy będące przedmiotem ewentualnego zakazu. Ludzie nie chcą, żeby rząd utrudniał im „gospodarowanie prawdą", więc żadna władza nie śmie w to się wdawać. No i wreszcie czwarty warunek, związany z trzecim, jakkolwiek trudny do zaakceptowania: wolni ludzie chcą mieć możliwość robienia różnych rzeczy, które uważane są przez rząd, a nawet przez ogół ludzi za złe; pragną zasłony prywatności i chcą mieć możliwość robienia za nią tego, co chcą – a w tym również tego, na co pozwala im sumienie, choćby innym się to nie podobało.

W bardzo grubych zarysach wszystkie rządy, nawet bardzo autorytarne, respektują te warunki. Nawet w Korei Północnej wolno palić papierosy, przeklinać i obrażać sąsiada, o ile ten ostatni nie jest przypadkiem partyjny. Wszystko to jednak działa w ramach państwa. Państwo jest emanacją narodu politycznego bądź przemocą narzuconą mu formą organizacji. Z racji tej jedności, bardziej czy mniej dobrowolnej, pojedynczy i monopolistyczny rząd ustanawia jednolite prawo. Z samej swej natury prawo stanowione obowiązuje jeden naród, poddany władzy jednego rządu. Jeden naród, jedna władza, jedno prawo!

Rys. MARCIN CHUDZIK

Ta pojedynczość jest czymś zupełnie zasadniczym, bo określa się w niej suwerenność władzy, z której wywodzi się jej moc stanowienia, wykonywania i egzekwowania prawa. Można powiedzieć, że suwerenizm to polityczny monizm. Właśnie dlatego w autorytarnych i scentralizowanych strukturach politycznych miejscowi bogowie też bywają „jedyni", a inni ogłaszani są nieistniejącymi. To „nieistnienie" obcych bóstw to groźna zapowiedź anihilacji ich wyznawców!

Prawo kocha pojedynczość, wyłączność, suwerenność. No i właśnie dlatego mamy problem, gdy chcemy stworzyć i stosować prawo mające obowiązywać wiele narodów lub nawet wszystkie narody. Na coś takiego rządy mogą się co najwyżej umówić, ale umowy zawsze są warunkowe – można je wypowiedzieć. Nie ma, niestety, światowego narodu politycznego (ludzkości) ani światowego rządu. Ludzkość nie jest suwerenem, a poszczególne narody definiują swoją suwerenność przed odgradzanie się od wpływów innych narodów. Ludzkość jako całość nie ma takiej szansy, przynajmniej dopóty, dopóki nie przylecą do nas kosmici.

Dlatego prawo międzynarodowe zamiast mieć rangę nadrzędną w stosunku do narodowego prawa stanowionego (jak wskazywałaby poczciwa logika człowieka prostego), ma rangę konwencji i dobrowolnej umowy. Żadne państwo nie może zaś przedkładać takiej konwencji i wierności zawartej umowie ponad swoje najbardziej żywotne interesy.

Dlatego też zarzut „złamania prawa międzynarodowego" nic nie znaczy dla państwa, które, w swoim mniemaniu (a więc w mniemaniu jego rządu) broni swej „racji stanu", a więc swych fundamentalnych, egzystencjonalnych interesów.

Wszak w obliczu zagrożenia nie liczy się nic i wszystko wolno.

Dlatego właśnie prawo międzynarodowe nadaje się jedynie do tego, żeby regulować sprawy codziennego współżycia narodów w okresie pokoju. Wtedy to jakoś działa. Są to po prostu umowy o dużym zakresie i dużej trwałości, a niektóre z nich wytwarzają pewien stan faktyczny i regulacyjny, któremu muszą się podporządkować również te państwa, które albo nie uczestniczyły w negocjowaniu umowy, albo ją odrzuciły. Natomiast w czasie wojny prawo międzynarodowe staje się jedynie zbiorem ograniczeń temperujących dzikość i okrucieństwo wojny. Dobre i to, ale mówienie komuś, że jego wojna jest nielegalna, to jak zarzucanie antyterrorystom w akcji, że nie wytarli butów. No, nie wytarli. I co?

JAN HARTMAN

Kilka refleksji o cywilizacyjnej przewadze Zachodu

Wieczni kolonizatorzy

Imperium kontratakuje. Coraz więcej ludzi na świecie umiera wskutek bombardowań Wuja Sama. Afgańczycy, Irakijczycy, mieszkańcy Libii, Syrii, Jemenu, Wenezueli… Tylko Belgrad był w Europie, ale czy Serbowie to godni tego miana Europejczycy?

W ten sposób Zachód broni świat przed autokratyzmem i terrorystami. Wystarczy użyć słów „reżim" i „broń atomowa", żeby zamaskować hipokryzję. Rosja nie miała prawa zagwarantować sobie bezpieczeństwa – orzekł Zachód kategoryczne – miała biernie się przyglądać, jak Amerykanie szkolą i wyposażają w broń armię sąsiada z ambicjami przystąpienia do wrogiego sojuszu. Za to w bardzo oględnych, powściągliwych słowach ten sam Zachód potępiał „suwerenne" państwo izraelskie za bombardowania Gazy i ludobójstwo. Prawie 90 proc. z 2,3 mln mieszkańców tego więzienia pod gołym niebem zostało wygnanych z domów, które zburzyły bomby. Co więcej: skażona woda, gleba, głód i epidemie. To Hamas jest przeciwnikiem? Czy chodzi raczej o aneksję Strefy Gazy i Zachodniego Brzegu, na którego obszarze osiedliło się już 700 tys. Izraelczyków? Słowo „terroryzm" wszystko wybaczy – i wypaczy.

Zachód kontra barbaria

Gęby politycznych marionetek biznesu pełne są frazesów o pokoju i demokracji. Zmieniają repertuar, kiedy pojawi się ktoś, kto zagraża naszym transportom, naszemu dobrobytowi, naszym strażnikom ropy i gazu. Tak wygląda pokój w systemie podporządkowanym wielkim korporacjom bogatej Północy i jej finansowej oligarchii – a więc zyskom i niezakłóconej konsumpcji, służącej w ostatecznym rozrachunku interesom wąskiego grona wybrańców.

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Pieczę nad bezpieczeństwem zysków i dobrobytu sprawuje Wuj Sam, który u siebie ma miliony biedaków, oligarchię bogaczy i bilionowe wydatki na zbrojenia. Użycie przemocy militarnej zawsze pozostaje opcją wobec peryferii z surowcami, ale bez ludzi z naszą siłą nabywczą.

Dlatego „globalna przemoc stanowi jądro naszego istnienia" – konkluduje wybitny szwedzki eseista i krytyk zachodniej hipokryzji Sven Lindqvist („Już nie żyjesz. Historia bombardowań", WAB, 2023). Ale – dodajmy – w Systemie, w którym trwa wyścig po minerały, ropę, rynki zbytu, dostęp do taniej siły roboczej i bogatych konsumentów. Ten imperialny ład G-7 bogatej Północy nadzoruje bez pytania kogokolwiek o przyzwolenie jedyny sprawiedliwy cysorz: USA.

Od czasów Herodota Zachód postrzega siebie jako cywilizację indywidualnej wolności i rządów prawa. Wschód – Azja Mniejsza i Środkowa, Indie, Chiny – to cywilizacje barbarzyńców, dzikusów, autokracji i despotyzmu. Obecnie to odium ściągnęli na siebie islamscy terroryści, irańscy ajatollahowie, Wenezuelczycy i Kubańczycy. Tym się zamarzyło społeczeństwo bez lokalnej oligarchii i kurateli amerykańskiego ambasadora.

Tymczasem warto pamiętać, że grecka demokracja służyła niewielkiemu odsetkowi ówczesnego społeczeństwa. Rzymianie natomiast budowali imperium siłą swoich wojsk, za ich pomocą ściągali bez żadnych ceregieli nadwyżki z całego obszaru Morza Śródziemnego. Ich znakiem rozpoznawczym była wojna totalna: zabijali jeńców, rabowali, niszczyli miasta, eksterminowali całe narody, nie komplikując sobie zadań dylematem: kto żołnierz, a kto cywil. Ich zadanie przejęli obecnie Anglosasi. Mają dużą praktykę w zabijaniu dzikusów z nieba. Teraz szukają superbroni, która zakończy wszystkie wojny i zaprowadzi wieczysty pokój. Do tego czasu pozostają małe wojny z niepokornymi – jak wcześniej w Wietnamie czy Iraku. Obecnie biorą udział per procura w wojnie na Ukrainie, w Gazie, w Jemenie, w Wenezueli. Przyszła kolej na Iran.

Czy to początek ery eksterminacji ludzi zbędnych w kapitalizmie technobuców z Kalifornii i prawicowych oszołomów głębokiego Południa tego upadającego mocarstwa?

Cywilizowanie trupami

Możliwości dyscyplinowania dzikusów wzrosły, kiedy w arsenale środków utrzymywania porządku w koloniach pojawił się samolot. Odtąd zadania policji przejęli piloci. Niemający końca rejestr karnych bombardowań sporządził wspomniany szwedzki demaskator zachodnich kolonizatorów. Już nie żyjesz, Palestyńczyku, Jemeńczyku, Wenezuelczyku, Kubańczyku, Irańczyku…

Karanie dzikusów z bezpiecznej wysokości stosowały wszystkie państwa kolonialne. Symbolami stały się święte miasta: marokańskie Szafszawan, baskijska Guernica i japońska Hiroszima. Środki utrzymywania kolonialnego porządku obejmowały m.in.: bomby z opóźnionym zapłonem, bomby fosforowe, kolczatki kaleczące ludzi i bydło, ropę naftową do zatruwania studni czy poprzednika napalmu – „płynny ogień". Głównym sposobem zaprowadzania porządku były systematyczne naloty połączone z niszczycielską siłą trującego gazu. Jak raportował jeden z brytyjskich oficerów: „kiedy nasze oddziały wkraczają do zbombardowanej wioski, hordy psów nadgryzają już ciała zabitych niemowląt i starych kobiet. Wielu mieszkańców jest ciężko rannych, zwłaszcza małe dzieci"…

Utrzymywanie ładu światowego po II wojnie światowej też wymagało nowoczesnej rózgi. Bo, jak powiada Lindqvist, „kiedy ma się bombowce, zawsze można znaleźć powód, by ich użyć". A tych nie brakowało podczas zimnej wojny.

Oto krótki przegląd.

W Laosie – i to tylko w latach 1968–1969 – Amerykanie zrzucili 230 ton bomb, zabijając 150 tys. ludzi. W całych Indochinach USA zrzuciły łącznie 8 mln ton bomb, a ich łączna moc odpowiada 640 atakom na Hiroszimę. W 85 proc. były to naloty dywanowe. Po doktrynie elastycznego reagowania pozostało 9 mln kraterów po bombach na łącznym obszarze 100 tys. ha. Niepokornym można było stworzyć piekło za pomocą napalmu. W czasie II wojny na głowy Japończyków spadło 14 tys. ton napalmu, w wojnie koreańskiej było już 32 tys. ton, a podczas wojny wietnamskiej 373 tys. ton. Tylko w operacji Pustynna Burza, od stycznia do lutego 1991 r., nad obszarem Iraku operowało 1300 amerykańskich samolotów. Odbyły one 116 tys. lotów. A każdy nie tylko sieje śmierć, ale też wymaga ogromnej ilości paliwa lotniczego.

Mało rozumu

Kanclerz króla szwedzkiego Gustawa II Adolfa, Axel Oxenstierna, mówił, że mało rozumu potrzeba do rządzenia światem. Ale teraz wiemy więcej. Czarną dziurą cywilizacji stał się amerykański model kapitalizmu akcjonariusza. Jego symbolem jest pomocnik Wuja Sama – wujek Larry Fink, szef największej firmy inwestycyjnej na świecie, BlackRock, władający bilionami kapitału portfelowego. Obaj pustoszą kolejne regiony świata. A polska mapeteria milczy. Bo starsza rusofobia i świeższa antyputinowska histeria wyssały jej szarą substancję z kory mózgowej. Tak to poznaje się ludzi, poznając ich przyjaciół.

TADEUSZ KLEMENTEWICZ

eprasa.pl cc7ea89864

Emancypacja z widłami

PRL dał wiejskim kobietom możliwość poszerzenia swoich kwalifikacji zawodowych i niezależność finansową. Okres transformacji zepchnął je w społeczny niebyt. Współcześnie mieszkanki wsi chętnie wpisuje się w stereotyp podatnych na populizm i prawicowy radykalizm. Nic bardziej mylnego.

Od wieków na wieki

W opublikowanych w 1935 r. „Pamiętnikach chłopów" znalazły się tylko dwa teksty autorstwa kobiet. W jednym z nich zanonimizowana przez redaktorów autorka pisała: „Bo doprawdy nie ma chyba na świecie więcej zapomnianej i niedocenianej istoty, jak wieśniaczka, a najbardziej u nas w Polsce. A przecież my wszystko składamy w ofierze ojczyźnie i społeczeństwu, a w zamian nie dostajemy nic" (pisownia wszystkich cytatów oryginalna). Ćwierć wieku później, w nowym ustroju, inna mieszkanka wsi, Maria spod Wielkiego Leźna na Kujawach, wspominała w swoich zapiskach: „Również i kobiety ileż musiały kiedyś znieść upokożenia tylko dlatego, że były innej płci (kobiety). Dziś jest inaczej. My kobiety mamy równe prawa jak mężczyźni. W obecnej żeczywistości nikogo już nie dziwi gdy spodka kobietę architekta, inżyniera, górnika czy też ministra. To wszystko wydaje się bardzo naturalne"... W 2025 r. z inicjatywy Funduszu Feministycznego powstał raport, który pokazał, że wiejskie kobiety kontynuują emancypacyjną rewolucję swoich prababek i babek – jak na ironię, dzięki pieniądzom, które miały umacniać „tradycyjne wartości".

Przytoczone fragmenty pochodzą z książki Antoniny Tosiek „Przepraszam za brzydkie pismo. Pamiętniki wiejskich kobiet". Badaczka diarystyki ludowej i pisarka przeczytała setki pamiętników nadesłanych na konkursy organizowane od lat 30. do lat 90. XX w. Ze wstrząsających autobiografii pisanych potajemnie z obawy o spotkanie z mężowską pięścią bądź wyśmianie wyłoniła się ludowa historia kobiet, która przeorała powszechne wyobrażenie o wsi w XX w. Pamiętnikarki pisały po to, żeby udowodnić samym sobie, że ich historia ma znaczenie. „Ktoś pomyślał o nas, zwykłych kobietach wiejskich, takich co to nieraz określane są pogardliwym graniczącym z litością określeniem »kobiecina«. Ktoś, chce jakby porozmawiać z nami i wyciągnąć z tego odpowiednie wnioski. To będzie już kawałek historii" – zgrabnie podsumowała urodzona przed I wojną światową Dominika S. z Zamojszczyzny.

Wyboista droga postępu

Układanka fragmentów życiorysów to nie tylko opis systemowych nierówności i trudnych losów, z jakimi mierzyły się mieszkanki wsi. Wepchnięte w patriarchalny wzorzec praw i obowiązków tradycyjnej katolickiej rodziny uprawiały partyzantkę codzienności za pomocą narzędzi, do których miały dostęp. Aktywistyczny bakcyl angażował kobiety do kół gospodyń wiejskich czy rad gromadzkich. Tak, drogie siostry. Feminizm to nie tylko wielkomiejski wynalazek. Nie wierzycie?

Urodzona w 1914 r. Helena z Albertowa nad Świnką w 1970 r. pisała tak: „Praca między chowaniem dzieci powinna być podzielona pomiędzy małżonków. Mąż powinien wspólnie z żoną chować dzieci nie patrzeć tylko na ręce żony nie powinien się wstydzić prać pieluch, ani dzieci małych kąpać. Mąż powinien we wszystkich pracach pomagać czy to w polu czy w domu nie patrzeć, że gdy żona przyjdzie z pola i nie wie gdzie ma ręce włożyć to on usiądzie i czeka aż mu żona gotowe jedzenie postawi na stół"... Święte słowa, pani Helenko.

Wiele pamiętnikarek podnosiło problem podległości kobiet i niesprawiedliwego podziału ról. Starsze pokolenia miały – delikatnie mówiąc – niewielkie pole manewru do buntu. Przed czasami dobrodziejstwa walki Polski Ludowej z analfabetyzmem jedyną alternatywą wobec orki w rodzimej zagrodzie było zamążpójście lub służba w majątku. Krótko mówiąc, z deszczu pod rynnę. Dziewczyny urodzone po wojnie kończyły szkoły i kursy zawodowe. Udawało im się wyrwać do pracy w miastach albo PGR-ach. Nie były odizolowane jak ich babki, czytały książki i prasę. Mimo to nie da się porównać emancypacji kobiet z miasta i ze wsi. Dla przykładu, tygodnik „Przyjaciółka" – jak opisuje w swojej książce Tosiek – w wydaniu miejskim opisywał cud antykoncepcji. Wersja wiejska – już niekoniecznie. Ustawa z 1956 r. wprowadziła powszechny dostęp do aborcji. Co z tego, skoro na obszarach wiejskich brakowało placówek medycznych? Nawiasem mówiąc, rolniczki i rolników objęto bezpłatną ochroną zdrowia dopiero w 1972 r.

Paradoksalnie zderzenie PRL-owskiej nowoczesności z wiejską tradycją w pewnym momencie wkręciło kobiety spoza miast w tryby podwójnej subordynacji. Miały łączyć role tradycyjnych gospodyń, atrakcyjnych żon, spełniać standardy higieny i estetyki „z miasta", zapierdalać w domu, polu i oborze, a wszystko to przyjmować z entuzjazmem. Co zrobiły wiejskie baby? To co zwykle: radziły sobie.

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Gdzie diabeł nie może

Koła gospodyń wiejskich (również współcześnie), chętnie wyśmiewane przez ogół społeczeństwa i instrumentalnie traktowane przez polityków wszystkich szczebli, były alternatywą dla tradycyjnej ścieżki edukacji. Oferowały kursy gotowania, zdrowego żywienia, utrzymania porządku, pielęgnacji dzieci – słowem, pozwoliły przeskoczyć cywilizacyjną przepaść feudalnych zaszłości. Z czasem organizowały opiekę nad najmłodszymi w czasie żniw, pozyskiwały środki na własne biblioteki czy wycieczki do miasta w celach rozrywkowo-kulturalnych. Często kreowały własne inicjatywy artystyczne, np. teatry. Można powiedzieć, że ich założycielki były prekursorkami dzisiejszych NGO-sów. Co najważniejsze, instytucje te były fundamentem wspólnot. Tworzyły przestrzeń pomocy od kobiet dla kobiet. Idea przetrwała do dziś. I tak jak przed laty, sprytnie wyssała państwową kosteczkę do szpiku możliwości.

W 2018 r., na miesiąc przed wyborami samorządowymi, rząd Mateusza Morawieckiego uszył ustawę o zakładaniu i finansowaniu kół gospodyń wiejskich. Tempo prac było błyskawiczne. Debata w sejmie trwała mniej niż godzinę, a cała ustawa weszła w życie 4 października (wybory odbyły się 21 października). Morawiecki obiecał po 3 tys. zł na koło, później dotacja wzrosła do 6–9 tys. zł (w zależności od liczby członkiń). Kaczyński, który chętnie fotografował się na tle ubranych w ludowe stroje gospodyń, w 2023 r. obiecał podwojenie dotacji. Poza tym koła wspomagano dotacjami z ministerstw kultury i edukacji, a także z Fundacji Orlenu, Fundacji Banku Gospodarstwa Krajowego, a nawet słynnego Funduszu Sprawiedliwości.

Prawicowe konserwy doskonale zdawały sobie sprawę, że sprawy wsi są kluczowe dla utrzymania władzy w kraju – ale kolejny raz okazało się, że gówno wiedzą o kobietach.

Istotnie, po manewrach z dotacjami z niecałych 6 tys. zł kół gospodyń wiejskich zrobiło się 13 tys. Jak wynika z raportu Funduszu Feministycznego „Mieszkanki wsi w działaniu: lokalne rewolucje", aktywizm wiejskich kobiet nie tylko wypełnia luki w działalności powołanych do tego instytucji i państwa generalnie. Na przekór powszechnej narracji o zacofanej prowincji niektóre organizacje angażują się w integrację uchodźców, organizują spotkania z osobami LGBT+ albo warsztaty ekologiczne. Włączają do małych społeczności samotnych seniorów, osoby z niepełnosprawnościami, wykluczone, inne grupy religijne, etniczne lub narodowościowe. Z racji utrudnionego dostępu do lekarzy organizują spotkania z ginekologami i seksuologami. Gdy kompromisy z innymi osobami czy grupami interesu nie są możliwe, kobiety podejmują samodzielne działania. Uczestniczą w szkoleniach, aby podnosić kwalifikacje w zakresie działalności społecznej i pozyskiwania grantów. Uczą się rozpoznawać próby nadużyć i przemoc. KGW wciąż organizują wypady do miasta, ale nie tylko w celach rozrywkowych. Wiele pań brało aktywny udział w czarnych protestach przeciwko zaostrzeniu prawa aborcyjnego. Na wsi wciąż toczy się rewolucja i ma swoją płeć.

IDALIA DUBICKA

Życie w dobrobycie

● Z nowym rokiem – zamiast zacisnąć pasa – ruszyli do sklepów. I to tak, że padł rekord. Jak podał GUS, sprzedaż detaliczna w styczniu wzrosła w cenach stałych o 6,1 proc. rok do roku, podczas gdy rynek spodziewał się wyniku bliższego 4–5 proc. Padł najlepszy wynik od wielu miesięcy. W rozbiciu na kategorie wygląda to tak: sprzedaż samochodów, motocykli i części wzrosła o ponad 20 proc. rok do roku. Meble, RTV i AGD – wzrost przekroczył 15 proc. Dwucyfrową dynamikę zanotowano też w tekstyliach, odzieży i obuwiu. To pokazuje, że Polacy rzucili się na dobra trwałego użytku – rzeczy, które kupuje się rzadko i zwykle wtedy, gdy w portfelu pojawia się nadwyżka. W grudniu w wielu firmach wypłacane są premie roczne, nagrody i trzynastki. Jeśli ktoś dostał kilka tysięcy złotych ekstra, to w styczniu mógł pozwolić sobie na nową pralkę, telewizor czy wymianę samochodu. Co ciekawe, rekord sprzedaży padł w czasie, gdy stopa bezrobocia wzrosła z 5 proc. w maju do 6 proc. w styczniu. Można by więc oczekiwać większej ostrożności. Tymczasem Polacy najwyraźniej uznali, że skoro realne płace rosną – nominalnie nawet o 8–10 proc. rocznie, a inflacja spadła do kilku procent – to można sobie pozwolić na większe wydatki. Czy to trwały trend, czy jednorazowy efekt grudniowych premii i poprawy nastrojów – okaże się w kolejnych miesiącach. Bo rekordy w statystykach pojawiają się szybciej, niż znikają świąteczne dekoracje.

● Enea ogłosiła, że zbuduje dwa nowe bloki energetyczne opalane gazem. Spółka tłumaczy, że mają one „wypełnić lukę w systemie" i zapewnić stabilne dostawy prądu w czasach, gdy węgiel powoli odchodzi do lamusa, a wiatr i słońce bywają kapryśne. Brzmi, że ho ho. Tyle że to żadna rewolucja. Bo gaz ziemny różni się od węgla tym, że mniej kopci i łatwiej nim sterować. Ale wciąż trzeba go wydobyć, przesłać, kupić i spalić. No i kupić za granicą. Nowe bloki mają powstać w miejsce wyłączanych jednostek węglowych. Ich moc liczona będzie w setkach megawatów. W komunikatach padają słowa o bezpieczeństwie energetycznym i transformacji. Ale elektrownia gazowa nie działa na powietrze. Potrzebuje paliwa. A własnego gazu mamy jak na lekarstwo. Jeszcze kilka lat temu gros surowca płynęło do Polski ze wschodu. Dziś zastąpiliśmy ten kierunek innym. Zamiast rosyjskich rurociągów mamy tankowce z LNG, głównie ze Stanów Zjednoczonych. Płacimy nie tylko za sam surowiec, ale też za jego sprężenie, przewóz i całą infrastrukturę. Budowa dwóch bloków gazowych to wydatek ponad 6 mld zł. Do tego dochodzą koszty paliwa przez następne kilkadziesiąt lat. Elektrownia nie powstaje na chwilę. Ma pracować 25–30 lat. A więc przez trzy dekady będziemy potrzebowali stałych dostaw gazu z zagranicy. Prąd w Polsce już teraz należy do najdroższych w Europie. Koszty uprawnień do emisji dwutlenku węgla, ceny paliw, modernizacja sieci – wszystko to składa się na rachunek, który trafia do odbiorcy. Jeśli do tego dołożymy importowany gaz, trudno oczekiwać, że energia nagle stanieje. Dlatego opowieść o końcu węglowodorów jest mocno przesadzona. My z nich nie wychodzimy. My tylko zmieniamy dostawcę i rodzaj paliwa. Z węgla na gaz. Z Rosji na Stany Zjednoczone. Czy to źle? Politycznie – zapewne bezpieczniej. Technicznie – wygodniej. Klimatycznie – trochę czyściej. Ale ekonomicznie to wciąż uzależnienie od paliw kopalnych i zagranicznych kontraktów.

● Łapówka w Polsce nie jest już tym, czym była w PRL. Wtedy była powszechna. Dziś jest ścigana. A mimo to – jak pokazują badania – wcale nie zniknęła z głów Polaków. Bo chociaż około 70 proc. Polaków uważa, że wręczanie łapówek jest czymś nagannym, to jednocześnie blisko 30 proc. badanych dopuszcza taką możliwość w pewnych sytuacjach. Kilkanaście procent respondentów wprost twierdzi, że łapówka może być usprawiedliwiona, jeśli pozwala szybciej załatwić ważną sprawę. Spora grupa ankietowanych przyznaje, że wszyscy tak robią, więc trudno wymagać heroizmu od jednostki. To oznacza, że moralność deklarowana to jedno, a praktyka życiowa – drugie. Czy dlatego, że w czasach PRL łapówka była elementem systemu? Funkcjonowała wszędzie. W służbie zdrowia, w urzędach, przy przydziale mieszkań. Różnica polegała na tym, że była przewidywalna, a skoro była powszechna, to tania. Każdy wiedział, komu i ile. Dziś, choć większość Polaków potępia korupcję, to część społeczeństwa widzi w niej narzędzie. Jeżeli niemal co trzeci badany dopuszcza łapówkę w określonych okolicznościach, to znaczy, że nie chodzi tylko o moralność. Chodzi o skuteczność państwa. Bo jeśli procedury trwają miesiącami, a decyzje administracyjne ciągną się w nieskończoność, to rośnie pokusa skrótu. Dziś jednak łapówka zmieniła formę. To jest kosztowny i ryzykowny mechanizm dla wybranych, którzy w cenę wziątki muszą wkalkulować ryzyko aresztowania.

● Portale ekonomiczne wpadły w euforię, bo sieć Lewiatan ma już ponad 3,6 tys. sklepów i w liczbie placówek przebiła zarówno Lidla, który w Polsce ma około 900 dyskontów, jak i Dino Polska z siecią liczącą ponad 2,4 tys. sklepów. Dowiadujemy się, że jedna sieć urosła o kilkadziesiąt placówek w rok, druga o ponad sto, a trzecia konsekwentnie zwiększa zagęszczenie w małych miastach. Padają liczby dotyczące powierzchni handlowej, udziałów w rynku i dynamiki rozwoju. Brakuje tylko jednej liczby: ile z tego wszystkiego trafia do kieszeni ludzi na kasach. A w Polsce w handlu detalicznym pracują setki tysięcy osób. Wielu z nich zarabia w okolicach płacy minimalnej. Przy rosnących kosztach życia ta kwota nie robi wrażenia, nawet jeśli sieć ma 2 tys. czy 3,6 tys. sklepów. I gdy czyta się zachwyty nad tempem ekspansji Dino, trudno nie pamiętać, że za tymi 2,4 tys. sklepów stoją konkretni ludzie i konkretne grafiki pracy. Od lat pojawiają się relacje o brakach kadrowych i konieczności obsługiwania kilku stanowisk jednocześnie. Jeśli na zmianie zamiast czterech osób są trzy, to liczba sklepów w kraju nie ma dla pracownika żadnego znaczenia. On widzi tylko, że musi wykonać o 25 proc. więcej pracy. Portale potrafią z dokładnością do jednego miejsca po przecinku wyliczyć, że dana

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

eprasa.pl cc7ea89864

Babciu, a ile ty miałaś skrobanek?

Kobiety kobietom

Kiedy spojrzeć na demograficzną mapę Polski XX w., łatwo zapomnieć, że za każdą cyfrą, za każdą statystyką kryje się ludzka historia. Nie abstrakcyjna, lecz osobista i nader intymna. Właśnie w tej ludzkiej perspektywie trzeba odczytywać liczby aborcji w czasach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Tam, gdzie dane oficjalne to tylko jedna strona medalu, a milczenie, tabu i prywatne gabinety ginekologów – druga.

Bo były to czasy, kiedy kobieta mogła decydować o swoim ciele. Z dzisiejszej perspektywy brzmi to jak luksus, który udało się osiągnąć zbyt wcześnie i zbyt łatwo, by został zrozumiany i doceniony. A jednak był.

Aborcja nieoswojona

W 1960 r. liczba oficjalnych aborcji w Polsce wynosiła ok. 230 tys. rocznie. W kolejnych latach rosła. I nie dlatego, że kobiety lekką ręką przerywały ciążę. Brak edukacji seksualnej, fatalna jakość dostępnej antykoncepcji, a także wstyd – wszystko to sprawiało, że niechciana ciąża była dramatem, z którego jedyną drogą ucieczki był zabieg. A skoro istniało państwo, które tej drogi nie zamykało, to kobiety z niej korzystały.

Aborcja była więc zjawiskiem powszechnym, ale też – paradoksalnie – intymnym. Nie mówiono o niej, nie opowiadano, nie dzielono się doświadczeniami. Kobieta wracała z zabiegu do domu i milczała. Albo ukrywała się u ciotki, albo tłumaczyła się przeziębieniem. Czasem mówiła mężowi, czasem przyjaciółce, ale zawsze z tą samą niepewnością, jak zostanie to przyjęte.

Bo aborcja, choć legalna, nie była społecznie oswojona. W domach nie rozmawiało się o seksie, w szkołach nie uczono o ciele, w aptekach kobiety wstydziły się pytać o watę i ligninę, a co dopiero o środki antykoncepcyjne. Spirale, globulki, prezerwatywy – wszystko to istniało, ale jako towar wstydliwy, nieoczywisty, wymagający odwagi, której nie miało się zbyt wiele.

Pigułki antykoncepcyjne pojawiły się w Polsce już w latach 60. – najpierw niemieckie, potem rodzime, produkowane przez Polfę. Ale ich dostępność i społeczna akceptacja pozostawały niskie. Mało która kobieta decydowała się na ich stosowanie. W dużych miastach – może. Na prowincji – rzadko. Kobiety nie chciały o tym mówić.

Prawo do ciała

Jeśli wierzyć oficjalnym statystykom, w latach 60. liczba przerwań ciąży przekraczała 200 tys. rocznie. W latach 70. sięgała 300, 400, a nawet 500 tys. Jeśli doliczyć zabiegi prywatne – a doliczyć trzeba – liczby rosły.

Demografowie od lat powtarzają, że statystyki państwowe zaniżały skalę zjawiska co najmniej o połowę. Prywatne gabinety, koperty, znajomości, poleceni lekarze, terminy po godzinach – wszystko to funkcjonowało równolegle do oficjalnego systemu. W efekcie rzeczywista liczba aborcji mogła wynosić nawet 700–800 tys. rocznie. W kraju, który liczył wówczas około 30–35 mln mieszkańców. W kraju, w którym kobiet w wieku rozrodczym było około 8–10 mln. Matematyka jest bezlitosna.

Jeśli przez trzy dekady wykonywano setki tysięcy aborcji rocznie, to oznacza, że doświadczenie przerwania ciąży było udziałem niemal każdej kobiety. To nie była historia jakiejś sąsiadki. To była historia pokolenia.

W latach 70. i 80. liczba żywych urodzeń w Polsce oscylowała wokół 600–700 tys. rocznie. Oznacza to, że na każde urodzone dziecko przypadała mniej więcej jedna przerwana ciąża. Albo i więcej.

W latach 80. liczba oficjalnych aborcji zaczęła spadać, ale nie dlatego, że kobiety nagle zaczęły rodzić więcej dzieci. A stąd, że coraz większa część zabiegów przenosiła się do prywatnych gabinetów ginekologicznych. System statystyczny przestał nadążać za rzeczywistością.

Skrobanka nie była marginalna praktyką – to był fundament rzeczywistości społecznej. Milczący, zakryty, ale realny. I trzeba to powiedzieć jasno: gdyby nie to, że kobiety miały możliwość przerwania ciąży, wiele z nich nigdy nie zdobyłoby wykształcenia, nie zrobiłoby kariery, nie wyszło z biedy, nie uniknęło przemocy.

Lecz wbrew dzisiejszym mitom decyzja o aborcji nawet wtedy nie była łatwa. Ale była możliwa. W tamtych czasach kobieta, która nie chciała urodzić, mogła nie urodzić. Nikt nie pytał o powód. Nikt nie wymagał traumy. Nikt nie stawiał jej w roli ofiary lub zbrodniarki. To przyszło w latach 80. wraz z papieżem-Polakiem i propagandą dzieci poczętych. To wtedy pojawił się „syndrom poaborcyjny". To wtedy w kościołach zaczęto kobietom wmawiać winę, o której wcześniej nie miały pojęcia.

Dostępność przerywania ciąży nie znaczyła, że za komuny wszystko było dobrze. Młode dziewczyny, które wpadły, często były usuwane ze szkół. Rodziny wciąż traktowały nieślubną ciążę jak hańbę. Ale nawet na wsiach panny zmuszano do zabiegów, by uniknąć ślubu z brzuchem. Na katolickiej wsi aborcja była niczym, gdy w grę wchodziło nieślubne dziecko.

Rys. TOMASZ WIATER

Dziś kobiety, które dokonywały aborcji w PRL, mają po 60, 70 czy 80 lat. Niektóre z nich są babciami, niektóre samotnymi emerytkami. Wiele nigdy nie opowiedziało nikomu o tym, co zrobiły. Ale zrobiły to, co musiały – dlatego, że były odpowiedzialne. Bo wiedziały, że nie czas, nie miejsce, nie warunki.

To one były pokoleniem kobiet, które potrafiły wybrać. Nie zawsze w spokoju. Nie zawsze bez żalu. Ale jednak wybrać.

Babcia ogrodnika

A potem historia zrobiła fikołka. Kobiety, które w latach 60., 70. i 80. masowo korzystały z prawa do przerwania ciąży, dziś stoją w pierwszym szeregu tych, które to prawo innym odbierają. To one – nie ich córki i wnuczki – wypełniają ławki kościelne. To one – nie młode kobiety – wyklękują konfesjonały. To one – nie studentki i 30-latki – zapełniają przede wszystkim urny wyborcze głosami na tych, którzy chcą zamknąć kobiety w biologicznym przeznaczeniu.

W tej historii jest za to coś znacznie ciekawszego: masowa hipokryzja. Społeczna amnezja, moralna selektywność i pamięć działająca jak filtr, który przepuszcza tylko to, co wygodne.

Z upadkiem komuny liczba urodzeń zaczęła maleć. Polska wchodziła w epokę demograficznego spowolnienia. W latach 90. dzietność spadła poniżej poziomu zastępowalności pokoleń. W kolejnych dekadach – jeszcze bardziej.

Po 1989 r. zaczęła się moralna rewolucja. Kościół odzyskał wpływy. Politycy odkryli, że temat aborcji jest doskonałym narzędziem mobilizacji elektoratu. Społeczeństwo zaczęło opowiadać sobie nową historię o przeszłości.

Historię, w której aborcja była rzadkością. Historię, w której kobiety rodziły dzieci z radością. Historię, w której PRL był epoką rozwiązłości. Historię, w której same kobiety – te, które w PRL przerywały ciąże – wystąpiły w roli moralnych strażniczek.

Dziś główną siłą polityczną walczącą z prawem do aborcji jest Prawo i Sprawiedliwość. A główną bazą jego poparcia są osoby starsze, w tym kobiety. Dane wyborcze są jednoznaczne. W wyborach parlamentarnych w 2023 r. PiS zdobył największe poparcie wśród osób po pięćdziesiątce. Osoby 50 plus stanowią około 62 proc. elektoratu tej partii. Aż 42,1 proc. wyborców PiS ma ponad 60 lat. Wśród uczniów i studentów PiS osiąga najniższe wyniki spośród wszystkich ugrupowań parlamentarnych. Wśród młodych kobiet poparcie dla tej partii jest minimalne. To nie młode kobiety głosują za restrykcjami. To ich babcie.

W wyborach prezydenckich rozkład głosów kobiet również ujawnił wyraźny podział pokoleniowy. Na Trzaskowskiego zagłosowało 54,2 proc. kobiet, na Nawrockiego – 45,8 proc. Jednak kluczowa była struktura wiekowa. Młodsze kobiety w większości poparły kandydata liberalnego. Starsze – konserwatywnego. Kobiety po sześćdziesiątce w znacznej mierze opowiedziały się po stronie kandydata reprezentującego światopogląd Kościoła i prawicy. Czyli – po stronie ograniczenia praw reprodukcyjnych. Czyli – przeciwko prawu, z którego same korzystały.

I jeśli kobiety po sześćdziesiątce dziś stanowią trzon elektoratu konserwatywnego, to są to dokładnie te kobiety, które w latach 60., 70. i 80. były w wieku rozrodczym.

To one tworzyły statystyki aborcji. To one siedziały w kolejkach do gabinetów. Dziś kobiety, które zaliczyły jedną lub więcej skrobanek, mówią swoim wnuczkom, że wyboru być nie powinno.

To świństwo. Bo gdyby pamięć była uczciwa, znakomita część elektoratu PiS musiałaby przyznać, że świat, który dziś popiera, jest światem, w którym same nie chciałyby żyć.

TADEUSZ JASIŃSKI

---

sieć zwiększyła liczbę placówek o 5 czy 10 proc. rok do roku. Nie potrafią natomiast pokazać, o ile procent wzrosły realne wynagrodzenia personelu w tych samych sklepach. Zestawianie kogokolwiek z Dino jako wzorca sukcesu jest więc co najmniej ryzykowne. Bo jeśli jedyną miarą zwycięstwa jest liczba placówek, to równie dobrze można ogłosić konkurs na to, kto utrzyma koszty pracy najniżej. Kto zmieści się bliżej minimalnej krajowej. Kto ograniczy obsadę na zmianie z czterech osób do trzech, a może do dwóch.

● Inni dziennikarze ekonomiczni odkryli, że GUS opublikował dane o PKB w podziale na województwa i natychmiast ruszyli do opisywania, gdzie jest lepiej, a gdzie gorzej. W ruch poszły tabelki, procenty i porównania, z których wynika, że jedni są bogatsi, a drudzy – jak zwykle – w ogonie. Według najnowszych danych wartość PKB w Polsce przekroczyła 3 bln zł. Z tego województwo mazowieckie wytwarza ponad 20 proc. całości. PKB na mieszkańca w tym regionie przekracza 100 tys. zł rocznie i jest o kilkadziesiąt procent wyższe od średniej krajowej. W tym samym czasie województwa takie jak podkarpackie czy lubelskie notują wskaźniki sięgające ledwie 60–70 proc. średniej. Różnice w wartościach bezwzględnych idą w dziesiątki miliardów złotych. I co z tego wynika dla mieszkańca Rzeszowa, Lublina czy nawet Warszawy? Czy informacja, że w jednym województwie PKB wynosi 120 tys. zł na głowę, a w innym 70 tys. zł, zmusi kogokolwiek do inwestowania tam, gdzie brakuje dróg, kolei i wykwalifikowanej kadry? Czy przedsiębiorca, widząc w tabeli niższą liczbę, powie: „No dobrze, to teraz wyłożę 200 mln zł w regionie, w którym nie mam ani zaplecza, ani ludzi do pracy"? PKB to przecież prosta suma wartości wytworzonych dóbr i usług. Jeśli w Warszawie mieszczą się centrale największych firm, banków i spółek skarbu państwa, to naturalne jest, że księgowość pokaże tam miliardy. Ale nie oznacza to, że przeciętny mieszkaniec Mazowsza żyje dwa razy lepiej niż ktoś z Podlasia. Dziennikarska fascynacja danymi zupełnie niczemu niesłużącymi ma więc jedną zaletę – wypełnia strony. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że to wiedza podobna do informacji o średniej głębokości jeziora.

TTJ

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Nie do takiej unii wstępowaliśmy:* ***jakże daleko unia aborcyjno-eutanazyjna jest od ideałów jej założycieli.***

ks. Marek Lis, X, 27 lutego

■ *Kiedy mowa nienawiści jest skierowana do osób na przykład homoseksualnych czy innej narodowości, o innym kolorze skóry, to wtedy trzeba za to karać, nawet za jakieś wpisy w internecie.* ***A kiedy jest skierowana wobec katolików, to wtedy w ogóle ma nie być kary. To jest przejaw bolszewickiej mentalności.***

Paweł Jabłoński (PiS), Radio Maryja, 25 lutego

■ *Przykro, że jest tak wielu katolików, którzy w ciemno popierają jakiekolwiek działania obecnej władzy albo „filozofują", że takie czasy i nic tu nie da się zrobić, a w ogóle to przecież nie możemy zostawać w tyle.* ***Ksiądz Tischner mówił o homo sovieticus. Dziś mamy raczej homo ideologicus hodiernus (zideologizowany człowiek współczesności), któremu wiele można wcisnąć „tylnymi drzwiami".***

Dariusz Kowalczyk SJ, Idziemy.pl, 20 lutego

Rys. WIDGET

■ *Stu wyspecjalizowanych prokuratorów w całym kraju ma się zająć ściganiem przestępstw motywowanych uprzedzeniami i mową nienawiści. Jednak jest to oczywiście decyzja o charakterze politycznym, a nie merytorycznym.* ***Nie miejmy złudzeń, że grupa społeczna, religijna, wyznaniowa, czyli katolicy, będzie tu objęta jakąś szczególną ochroną, bo do tej pory po prostu tego nie było, więc wnioskujmy z faktów.***

Łukasz Zawadzki (Ogólnopolskie Zrzeszenie Sędziów „Sędziowie RP"), Radio Maryja, 25 lutego

■ *Ksiądz Piotr Skarga nie przebierał w słowach i w środkach, walcząc o jedność Kościoła przeciwko herezjom trawiącym Rzeczpospolitą.* ***Popierał przy tym nawet karę śmierci za najcięższe przewinienia religijne, jak zbezczeszczenie Najświętszego Sakramentu. Jakże odróżnia go to od współczesnych, letnich, liberalnych katolików.***

prof. Marek Kornat, Klub Stańczyka, Warszawa, 25 lutego

■ *Jeżeli ktoś narusza godność polskiego godła, polskiej flagi, nie mówimy o naruszeniu uczuć narodowych, uczuć patriotycznych. Mówimy o znieważeniu symbolu który ma charakter wartościowy, wartościujący, aksjologiczny. Jeżeli zostają właśnie znieważone symbole religijne, to nie jest to kwestia obrazy uczuć.* (…) ***Dlatego należałoby wprowadzić bardzo jednoznaczne nawiązanie do znieważania wartości religijnych, które mają charakter obiektywny, niezależnie od tego, czy są przedmiotem czyichś uczuć. To jest znieważenie wartości religijnych, które są wpisane w naszą kulturę, są wpisane w naszą tożsamość i powinny być po prostu szanowane i cenione (…). To są akty agresji w stosunku do naszej wiary i niestety uchodzą bezkarnie.***

ks. prof. Paweł Bortkiewicz, Radio Maryja, 25 lutego

■ *Kościół nie został powołany do rozstrzygania spraw kryminalnych, biskupi nie zostali powołani do rozstrzygania spraw kryminalnych, tylko do ewangelizacji. Gdzie ta ewangelizacja?* ***W momencie, kiedy seminaria są puste, kiedy nie ma kandydatów do kapłaństwa, kiedy ewangelizacja leży, my zajmujemy się non stop sprawami ochrony dzieci i młodzieży. Doszliśmy do jakiegoś absurdu i dopóki tego nie zlikwidujemy, dopóty nie będziemy mieć przejrzystości w tego rodzaju sprawach.***

red. Sebastian Karczewski, Radio Maryja, 23 lutego

KLECHA

eprasa.pl cc7ea89864

Unia tylko Europejska

Komu prawa człowieka?

Rys. MARCIN CHUDZIK

20 lutego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych odbyła się wzruszająca uroczystość wręczenia Nagrody Pro Dignitate Humana. Wyróżnienie przyznawane jest od 2011 r. osobie lub organizacji pozarządowej za bezkompromisowe działania w obronie praw osób prześladowanych i narażonych na represje oraz niezłomną postawę w obronie praw jednostki i poszanowania godności ludzkiej. Tegoroczną laureatką nagrody została urodzona w syryjskim Aleppo 27-letnia Nujeen Mustafa.

W 2014 r., uciekając z ogarniętego wojną kraju, w asyście siostry pokonała na wózku inwalidzkim tysiące kilometrów przez Turcję, Grecję i Bałkany do Niemiec. Po uzyskaniu azylu rozpoczęła działalność publiczną na rzecz praw osób z niepełnosprawnościami oraz uchodźców. Nagrodę wręczył wiceprezes Rady Ministrów, minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski.

25 lutego straż graniczna z przejścia granicznego w Terespolu wypchnęła na Białoruś ciężarną kobietę.

Niebawem zarówno Nujeen Mustafa, jak i funkcjonariusze SG będą mieć mniej roboty. 12 czerwca w życie wchodzi nowe rozporządzenie Parlamentu Europejskiego o procedurze azylowej. Odsyłanie niechcianych w Unii gości będzie prostsze niż kiedykolwiek.

Płać i wypychaj

Świeże wytyczne przyklepane przez UE są uzupełnieniem Paktu o Migracji i Azylu z 2024 r., mają za zadanie usprawnić m.in. stosowanie koncepcji bezpiecznego kraju trzeciego. Za taki kraj uważa się państwo spoza UE, w którym przebywał imigrant chcący ubiegać się o azyl w Unii, nie będąc narażony na prześladowania czy utratę życia. Przez wiele lat przepisy pozwalały na odrzucenie wniosku azylowego głównie wtedy, gdy wnioskodawca miał wyraźne powiązania z krajem trzecim. Mógł to być wcześniejszy pobyt w danym państwie, więzi rodzinne, językowe, a nawet kulturowe. Nowe zasady znacznie rozszerzają wachlarz wariantów. Dotychczasowe zalecenia uzupełniono o dwa kolejne, dzięki którym migrant może zostać spuszczony na drzewo. Stanie się tak, jeśli wnioskodawca przejechał tranzytem przez bezpieczny kraj trzeci, w którym mógł złożyć wniosek o azyl, lub istnieje umowa z takim krajem o przyjmowaniu wnioskodawców azylowych (z wyjątkiem nieletnich bez opieki).

Co istotne, odwołanie od decyzji o odmowie azylu nie wstrzymuje automatycznie wykonania odesłania. W praktyce oznacza to przymusowe deportacje do państw, w których migrantom często nie przysługują realne gwarancje ochrony i gdzie istnieje wysokie ryzyko nadużyć oraz wykorzystywania.

Unia Europejska nie posiada jednej zamkniętej wspólnej listy bezpiecznych krajów trzecich. System opiera się na modelu „płać i wypychaj", który od 2016 r. stał się głównym narzędziem europejskiej polityki migracyjnej. Każdy kraj członkowski UE może uznać dany kraj trzeci za bezpieczny w indywidualnej sprawie bądź na podstawie wspomnianych umów. Kraje trzecie traktują te umowy jako pakt handlowy. W zamian za trzymanie niechcianego elementu ludzkiego z dala od Europy kasują forsę i odhaczają ustępstwa polityczne czy gospodarcze z listy życzeń.

Loty i płoty

W Polsce wprowadzone w marcu 2025 r. i regularnie przedłużane zawieszenie prawa do składania wniosków o ochronę międzynarodową pozostanie w mocy niezależnie od nowych unijnych przepisów. Każdy nieszczęśnik odłowiony w bezpośrednim pobliżu granicy polsko-białoruskiej trafi tam, skąd przyszedł – za płot. Sytuacja się zmieni, jeśli migrant przedostanie się w głąb kraju i dopiero tam zostanie namierzony.

Załóżmy hipotetyczną sytuację. Irakijczyk uciekający przed ISIS dostaje się przez Białoruś do kraju nad Wisłą. Przechodzi na polską stronę, forsuje las i bagna, omija straż graniczną. Dostaje się dajmy na to do Łodzi, gdzie w wyniku katolickiego donosu dowiadują się o nim mundurowi. Sprawdzają dokumenty i status pobytu Irakijczyka, który – jak wiadomo – raczy się polskim powietrzem nielegalnie. Odmienny plemiennie gość tłumaczy służbom, że do międzynarodowej turystyki zmusiła go obawa o życie. Do czerwca br. funkcjonariusze policji czy SG (przynajmniej formalnie) nie mają podstawy prawnej, by odmówić przyjęcia wniosku o ochronę międzynarodową tylko dlatego, że ktoś przyszedł czy przyjechał z Iraku przez Białoruś. Tym samym muszą umożliwić migrantowi złożenie wniosku o azyl. Nasz bohater wyraża taką wolę i trafia do ośrodka dla uchodźców, gdzie kibluje od kilku miesięcy do lat dwóch w oczekiwaniu na decyzję. Jeśli państwo polskie ochronę przyzna – zostaje w kraju albo jedzie dalej, np. do Niemiec czy innej Francji. Nawet gdyby polscy urzędnicy kręcili nosem na jego opowieść o zagrożeniu życia, to i tak zostanie u nas, bo nie bardzo jest go jak odesłać do ojczyzny.

Tureckie wakacje

Po 12 czerwca procedura będzie szybsza i prawdopodobnie bez happy endu na finiszu. Służby po namierzeniu Irakijczyka będą miały maksymalnie siedem dni na ustalenie jego danych: narodowości, odcisków palców, przetrzepanie telefonu i co najważniejsze sprawdzenie trasy, jaką dostał się do Polski. Tu nie będzie zaskoczenia. Prawie wszyscy migranci ze szlaku białoruskiego podróżują do Mińska przez Stambuł. Turcja na podstawie starej umowy z UE jest uznawana za bezpieczny kraj trzeci. Co prawda niekoniecznie dla obywateli Iraku (którego nie ma na unijnej liście bezpiecznego kraju pochodzenia), ale nie na takie drobiazgi przymykano polskie oczy. Wniosek Irakijczyka o azyl może zatem zostać uznany na tej podstawie za niedopuszczalny. W ciągu kilkunastu dni migrant zostanie odstawiony do Turcji. Oczywiście może złożyć odwołanie od decyzji do sądu, ale ewentualnej sprawiedliwości będzie musiał dowodzić na własną rękę z nowego miejsca zakwaterowania. Chyba że będzie miał fart i niechcianą podróż zablokują aktywiści i ich prawnicy. Usprawnienie jak się patrzy.

Aktywiści i organizacje broniące praw człowieka – Human Rights Watch, Pro Asyl, Amnesty International – oceniają nowe przepisy jako jeden z najpoważniejszych ataków na prawo do azylu w historii UE.

Zwracają uwagę, że zwiększają one detencję (w tym rodzin i dzieci), profilowanie i push-backi. W ocenie specjalistów wytyczne przenoszą odpowiedzialność za migrację poza Unię Europejską, gdzie monitoring praw człowieka jest słaby lub niemożliwy. Wszystko to w czasie, kiedy piekło wojny destabilizuje kolejne regiony świata i pociągnie za sobą fale niekoniecznie tylko oczywistych relokacji ludzkich. Niewesoła perspektywa.

LUCYNA MIKOŁAJCZAK

Rosja przynosi Stan p

Dnia 26 lutego roku 2026 ogłoszono w Polsce stan przedwojenny.

Uczynił to minister Radek Sikorski w sejmie, kiedy wygłaszał coroczne exposé o priorytetach polskiej polityki zagranicznej. Interpretujące świat i sugerujące, jak go zmieniać.

Tym razem Sikorski przemawiał nie jak szef MSZ-u, lecz wicepremier i minister wojny. Najwięcej czasu poświęcił wojnie rosyjsko-ukraińskiej. Zdefiniował Rosję jako agresora. Nałogowego, bez szans, że podda się dobrowolnej propokojowej terapii.

Dlatego Polska musi wspierać Ukrainę w wojnie z Rosją, bo Ukraina broni też niepodległości Polski. To już nie podlega dyskusji.

Z Rosją przedwojnie

Rosja nas też atakuje. Wszczyna wojny hybrydowe. Były próby sabotażów, ataków na infrastrukturę komunikacyjną. Codziennie dochodzi do cyberataków na polskie instytucje przez związanych z Rosją hakerów. Władze polskie nie ujawniają ich, bo mamy już stan przedwojnia. Miękkiej, stopniowej militaryzacji kolejnych sfer gospodarki, życia społecznego.

Eskaluje wojna w internecie. O stan nastojów społecznych. Aktywizują się tam i wzmacniają prorosyjskie trolle. Przekonujące polskich internautów, że wojna rosyjsko-ukraińska to „nie nasza wojna". Szerzące antyukraińskie nastroje i rosyjski punkt widzenia.

Płatnych rosyjskich trolli wpierają krajowi rusofile. Przekonujący Polaków, że w polskim interesie są przynajmniej dobre biznesowe i kulturalne relacje z Rosją. Tych wicepremier Sikorski uważa za „pożytecznych idiotów".

Wzywa ich do rozsądku. Zapowiada też intensyfikację „zwalczania dezinformacji w internecie" i innych mediach. Co musi się łączyć ze zwiększoną aktywnością tajnych policji i systemu represji. Także wobec rusofilów, bo ich najłatwiej zidentyfikować.

Dostaje się też rosyjskim instytucjom. Władze polskie zlikwidowały wszystkie, poza warszawskim, rosyjskie konsulaty. Do Polski mogą wjechać jedynie obywatele Rosji posiadający paszporty biometryczne, co ułatwia ich kontrolę.

Skoro Rosja jest agresorem, co nikogo nie powinno już dziwić, to cze-

Liberalna pałka

Stary wywiad, świeża podłość

Niektóre wypowiedzi polityków na początku wyglądają jak jednorazowy wybryk. Ot, lapsus, zły dzień, źle postawiony przecinek. Ale potem mijają miesiące, kurz opada, twarze władzy wracają do swojej zwyczajowej mieszaniny powagi i samozachwytu, aż nagle widać jasno, że to nie był żaden incydent, tylko fotografia brutalnej, realnej polityki.

Najpierw powiedział, potem kluczył

Właśnie dlatego warto dziś wrócić do wywiadu Donalda Tuska z 26 października 2025 r. dla „The Sunday Times". Nie dlatego, że lubimy odgrzewać stare skandale. Dlatego, że polityka państwa nie zrobiła się od tamtej pory ani odrobinę bardziej ludzka. Push-backi trwają. Przemoc coraz częściej udaje prawo. A słowa premiera, którym wtedy próbował nadać smak „realizmu", dziś nie brzmią już jak niefortunny komentarz, tylko jak polityczne credo.

Przypomnijmy fakty, bo tak właśnie trzeba robić, kiedy szuka się sensu, a nie wymówki. W tamtym wywiadzie Tusk mówił, że Europejska Konwencja Praw Człowieka, czyli EKPC, „bywa problemem", bo ochrona praw człowieka – jego zdaniem – jest stawiana ponad bezpieczeństwo. Dodał, że „rozmawiał z innymi przywódcami" o konwencji. Ja powiedziałabym raczej: przyznał, że knuł.

Formalnego wyjścia Polski z EKPC nie zapowiedział, ale jego słowa normalizują samo myślenie o wypowiedzeniu konwencji jako „rozsądnym" scenariuszu, jeśli reforma – czyli w praktyce zapewne poluzowanie ochrony i dopuszczenie push-backów – okaże się niemożliwa.

Dwa dni później, 28 października 2025 r., po fali krytyki ruszyło klasyczne rządowe sprzątanie po sobie. Rzecznik przetłumaczył z politycznego na nasze, że Polska nie planuje opuszczenia EKPC, że to nie tak, że bez paniki. Tyle że wirus wypuszczony z probówki już krążył w powietrzu.

Helsińska Fundacja Praw Człowieka zareagowała natychmiast. I słusznie, bo taka wypowiedź normalizuje język, dotąd kojarzony raczej z populistyczną prawicą niż z człowiekiem, który lubi przedstawiać się jako europejski demokrata z metryką wolnościowego opozycjonisty. Kaczyński zrobiłby to samo, tylko głośniej, grubiej, bardziej cepem. Tusk zrobił to po angielsku, w dobrze skrojonym zdaniu, tonem człowieka, który nie demoluje salonu, tylko proponuje „drobny remont zasad". Efekt pozostaje ten sam: jeśli prawo zbyt skutecznie chroni słabszych, to trzeba przyciąć prawo, nie przemoc.

Elegancka twarz tego samego draństwa

I właśnie dlatego piszę o tym dziś, choć wywiad był w zeszłym roku. Bo tamta wypowiedź nie została obalona przez rzeczywistość. Przeciwnie – rzeczywistość ją potwierdza. I nie chodzi tylko o push-backi. Polski rząd ma w dupie nie tylko Konwencję, ale także działający w oparciu o nią sąd w Strasburgu, czyli ETPC, i luksemburski Trybunał Sprawiedliwości UE, czyli TSUE.

Przykłady? Proszę bardzo.

Luksemburski sąd 25 listopada 2025 r. wydał wyrok dotyczący bezpośrednio obowiązku uznawania małżeństw zawartych w innych krajach UE – rząd do dziś ten wyrok olewa. ETPC już w 2023 r. nakazał Polsce ogólne uregulowanie statusu związków osób tej samej płci – dziś dostajemy potworka pod nazwą „status osoby najbliższej".

A push-backi? Gdyby się skończyły, gdyby przywrócono normalne procedury i choć minimalny szacunek dla prawa do azylu, można by uznać, że premier palnął głupstwo, a praktyka poszła gdzie indziej. Ale nic takiego się nie stało. Las nadal robi za poczekalnię dla ludzi, których państwo nie chce widzieć. Mundur, awansowany na jedyny synonim bezpieczeństwa, nadal wygrywa z człowiekiem. A środki „nadzwyczajne" okazały się zaskakująco zwyczajne.

No i jeszcze to czarowanie tymczasowością. Władza bardzo lubi to słowo. Już w marcu 2025 r. Polska przyjęła przepisy pozwalające rządowi czasowo zawieszać prawo do ubiegania się o azyl na odcinkach granicy z Białorusią. Tego samego dnia rząd wprowadził takie ograniczenie w życie. W maju 2025 r. sejm wydłużył ten stan o następne 60 dni. Na tym właśnie polega współczesna sztuczka: nazwać coś tymczasowym, a potem powtarzać tak długo, aż wyjątek zacznie uchodzić za normę.

Wracamy więc do tego wywiadu nie jako do archiwalnej ciekawostki, tylko jako do dokumentu politycznej ciągłości. Tusk nie opisał wyjątku. Opisał kurs.

Dla państwa człowiek jest paczką

Pushback – wypychanie ludzi z powrotem bez procedury, bez indywidualnego rozpoznania ich sytuacji, bez realnej możliwości ubiegania się o ochronę – nie jest abstrakcyjnym sporem o paragrafy. To bardzo konkretna praktyka. Człowiek przychodzi, państwo go nie słucha, tylko go odsyła. Niekiedy w mróz. Niekiedy do lasu. Niekiedy do morza. Niekiedy z powrotem w ręce tych, przed którymi próbował uciec. Tyle tej całej „ochrony granicy".

I tutaj wychodzi cała ohyda obłudnego języka, którym obudowuje się tę

eprasa.pl cc7ea89864

i cierpienie, Polska ciepło przedwojenny

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ka nas walka z przemytem rosyjskiej ropy naftowej przez „flotę cieni”.

Zwłaszcza że Rosja wojnę przegrywa. Sankcje działają, wojna przynosi Rosji milionowe straty ludzkie i spadek PKB o 20 proc. – uważa wicepremier Sikorski. I sufluje dla mediów taki przekaz: „Dziś wszyscy Ukraińcy widzą i czują, że Rosja przynosi cierpienie, Polska przynosi ciepło”.

Zimna wojna

Nie tyko Rosja grozi bezpieczeństwu Polski. Na polskich oczach, ale poza sferą naszych możliwości, kształtuje się nowy porządek międzynarodowy. Zasady pokojowej Karty Narodów Zjednoczonych ustępują polityce siły militarnej realizowanej teraz przez światowe mocarstwa.

Grozi nam koncert mocarstw niebezpieczny dla Polski, bo ich repertuar marginalizuje Unię Europejską. Zwłaszcza od kiedy pogorszyły się relacje USA – UE i NATO.

Dlatego Unia Europejska też musi się szybko zbroić. Zacząć od ram prawnych „wojskowego Schengen”, systemu dodatkowych bilateralnych i regionalnych sojuszy militarnych, aż po stworzenie wspólnych brygad szybkiego reagowania.

Pokojowa przyszłość Europy uwarunkowana jest silną Unią Europejską.

Skoro Rosja jest nałogowym agresorem, to nie ma nadziei na szybki, trwały pokój rosyjsko-ukraiński. Czeka nas nowa zimna wojna z Rosją.

W jej konsekwencji także ochładzanie relacji z jej sojusznikami.

Tej wojny Polska nie przetrwa bez bliskiej, bilateralnej współpracy z USA. Przede wszystkim wojskowej. Dlatego w najbliższych latach rząd polski przeznaczy 63 mld dol. na zakup produkowanej tam broni. Zaprasza amerykańską armię do stworzenia na naszym terytorium jej regionalnego centrum. Gwarantuje jej niższe koszty utrzymania amerykańskich żołnierzy niż w USA.

Polska zwiąże się też gospodarczo z USA. Rozbuduje gazoport w Świnoujściu, drugi zbuduje na Pomorzu Gdańskim. Chce być europejskim dystrybutorem amerykańskiego gazu LNG. Pierwsza polska elektrownia atomowa powstanie wedle amerykańskiej technologii. Rząd zaprasza innych amerykańskich inwestorów, zwłaszcza ze sfery sztucznej inteligencji.

Rząd polski chce tak nasycić Polskę amerykańską infrastrukturą, żeby zmusić administrację USA do interwencji w razie agresji na Polskę. Dlatego definiuje te inwestycje i wojskowe bazy jako „zasób, a nie zniewolenie”.

Zaś Wielkiego waszyngtońskiego Brata jako „przyjaznego hegemona”.

Zaloty do „przyjaznego” słychać było w exposé Sikorskiego. Mocarstwowym, rywalizującym z USA Chinom poświęcił jedynie 30 sekund. Prorosyjskim, mocarstwowym Indiom aż 20 sekund.

W regionie Azji Południowo-Wschodniej dostrzegł potrzebę politycznego partnerstwa z Japonią, Koreą Południową, Australią i państwami grupy ASEAN. Współpracy technologicznej z Tajwanem. Czyli z regionalnymi konkurentami gospodarczymi i politycznymi Chin.

Aby odstraszyć agresora Putina, rząd polski stworzy system sojuszy oparty na Unii Europejskiej i NATO. Także USA, wobec których Polacy chcą być „lojalnymi sojusznikami, ale nie frajerami”.

Wszystkie alianse służyć będą budowie jednej z najsilniejszych armii w Europie.

Strefa zgniotu

Poprzednia zimna wojna toczona przez USA z ZSRR koncentrowała się na wyścigu zbrojeń. Odstraszaniu wroga, unikaniu bezpośredniego konfliktu zbrojnego między liderami wrogich sojuszy. Broń i wojsko testowano i utylizowano na peryferyjnych polach walki. W Korei, Wietnamie, na Bliskim Wschodzie, w Afganistanie. Teraz podobne zastępcze wojny już toczą się na Bliskim Wschodzie, w Afryce, w zamienionym w wieczny poligon Afganistanie.

Otwiera się też przestrzeń dla wojen nowego typu w internecie.

Tam można zdobyć nie terytoria, ale poparcie społeczne swych wrogów. Wpływać na ich kampanie wyborcze, na wybór ich rządów. Rozbijać ich polityczne i militarne sojusze. Zmieniać proponowane tam strategie i sojusze gospodarcze. Uzasadniać lub negować rosnące tam budżetowe wydatki na zbrojenia oraz militaryzację mediów, sfer nauki, kultury, stylu życia i indywidualnej konsumpcji.

Na Polskę spadną olbrzymie wydatki militarne, do końca wieku obciążające nasze budżety państwowe i domowe. Bo wszystkie poważne partie polityczne, od Konfederacji po Razem, są teraz za zbrojeniami.

Postępuje też militaryzacja polskiej opinii publicznej. Gloryfikacja polskich interwencji zbrojnych w Iraku i w Afganistanie. Nikt już nie kwestionuje ich, nie pyta o celowość, ramy prawne, krzywdy cywili. Dziś za mundurem wszyscy politycy i media podążają zgodnym sznurem. Nie ma ich przyzwolenia dla pacyfizmu, demonstracji antywojennych, inteligenckich moralnych rozterek.

Nie ma też pola dla ewentualnego dialogu polsko-rosyjskiego. Nie widać potencjalnych partnerów. Rosyjskie elity lekceważą polskie państwo i polskie elity. Nie ma tam poważnej instytucji pragnącej takiego dialogu.

W Polsce podczas debaty nad exposé Sikorskiego ujawnił się „rosyjski głos w polskim domu”. Pan poseł Włodzimierz Skalik z braunowskiej Korony wezwał nie tylko do współpracy z Rosją, ale także do polexitu, wejścia do BRICS. Bo politykę Unii Europejskiej zdominowała Urszula Van der Leyen kierująca się „zasadami Talmudu”. Współczuję Rosji takich sojuszników.

Koniec pięknej epoki

Mamy stan przedwojnia. Czas intensywnych zbrojeń i militaryzacji umysłów.

Historia uczy, że zgromadzona broń musi gdzieś kiedyś wystrzelić. Zmilitaryzowane umysły ulegają pokusom wojen prewencyjnych. Magii szybkich zwycięstw.

W wieku XX udało się ludzkości przeżyć wielką wojnę światową rozegraną w dwóch aktach i jej epilog w postaci zimnej wojny.

Pierwsza wojna wybuchła, bo niemiecki cesarz chciał rękami cesarza austrio-węgierskiego rozwalić bogacącą się Rosję. Bo bogacące się Niemcy, blokowane przez bogatą Francję i Wielką Brytanię, szukały przestrzeni na wschodzie. Na terenach dzisiejszej Polski, Białorusi, Ukrainy.

Przy okazji kajzer chciał „dać nauczkę Francji”. Francja chciała rewanżu za klęskę z Niemcami w 1870 r. Rosja chciała Stambułu, Austrio-Węgry chciały Bałkanów i nauczki danej Serbii.

Wszystkie mocarstwa były gotowe do wojny już w 1910 r. Wstrzymywali ją niemieccy admirałowie, czekając na pogłębienie Kanału Kilońskiego, co stało się wiosną 1914 r. Wtedy czekano na koniec żniw, bo żołnierz jeść musi.

Latem 1914 r. stan militaryzacji umysłów był tak wielki, że ideowo pacyfistyczni francuscy socjaliści olali robotniczą solidarność II Międzynarodówki i głosowali za kredytami wojennymi. Uznali, że mogą strzelać do robotników rosyjskich, bo „to Azjaci”. Tradycyjnie kulturalni robotnicy niemieccy ruszyli na front w takt wierszyka: *Ein Schuss – ein Russ, ein Stoss – ein Franzos, ein Tritt – ein Britt*. Czyli „Co strzał, to Rusek, co pchnięcie, to Francuzek, co kop, to Brytol”

Poeta Guillaume Apollinaire wrócił latem 1914 r. do Paryża i od razu zaciągnął się do wojska. Napisał pięknie: „Powiedzieliśmy: »żegnaj!« całej epoce”. Tak skończyła się nostalgicznie dziś wspominana *la belle epoque*.

Apollinaire przeżył wojenne rany, ale zmarł na przywleczoną z USA przez amerykańskich sojuszników grypę, nazwaną wtedy ze względu na wojenną cenzurę hiszpanką. Zabijała ona w latach 1918–1920. Zachorowało na nią około 500 mln osób na całym świecie. Zmarło od 25 do 100 mln ludzi. Więcej niż podczas walk wojennych.

Bo bogate mocarstwa stanęły do wyścigu zbrojeń, a nie służby zdrowia.

PIOTR GADZINOWSKI

przemoc. Nie mówi się: „wypchnęliśmy zziębniętych ludzi w nieludzkie warunki”. Mówi się: „zastosowano procedurę”. Nie mówi się: „odebrano komuś szansę na ochronę”. Mówi się: „przeciwdziałano nielegalnej migracji”. Jakby człowiek naprawdę był paczką źle nadaną i trzeba ją było tylko odesłać do sortowni.

Dlatego wypowiedź Tuska o EKPC była i pozostaje skandaliczna. Nie tylko dlatego, że premier flirtował z pomysłem podważenia jednego z fundamentów powojennego europejskiego ładu prawnego. Także dlatego, że zrobił to w chwili, gdy Polska (i nie tylko Polska) już od dawna testowała, jak daleko można przesunąć granicę bezwstydu. Europejska Konwencja Praw Człowieka nie jest ozdobą dla elit. Jest bezpiecznikiem. Mówi państwu: „po pierwsze człowiek”. Gdyby ten bezpiecznik wykręcić,

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

gdyby w UE i w Polsce przestały obowiązywać standardy EKPC, Polacy straciliby nie jakiś abstrakcyjny symbol z podręcznika do europeistyki, ale zewnętrzną tarczę przeciw własnemu państwu.

Trudniej byłoby skarżyć bezprawne zatrzymania, przemoc służb, nieludzkie warunki w więzieniach, przewlekłość postępowań czy naruszenia prawa do rzetelnego procesu. Słabiej chroniona byłaby wolność słowa, prywatność, wolność zgromadzeń i prawo do życia rodzinnego. Krótko mówiąc: jeśli dziś władza mówi, że EKPC za bardzo przeszkadza przy migrantach, to jutro równie chętnie uzna, że przeszkadza także wtedy, gdy obywatel chce bronić się przed jej samowolą. Bez takiego hamulca prawa człowieka bardzo szybko staną się jedynie uprzejmą sugestią.

Kiedy premier twierdzi, że ten bezpiecznik za bardzo przeszkadza, nie proponuje żadnej nowoczesności. Proponuje rewizjonizm cywilizacyjny. Robi to w wersji soft: bez piany na ustach, bez wrzasku, bez brunatnego teatru. Ale rewizjonizm pozostaje rewizjonizmem, nawet jeśli ma dobrą dykcję i starannie dobrane dodatki do garnituru.

Przemoc rozsądna i centrowa

I tak, to jest barbarzyństwo wobec ludzi. Bo cała ta niby techniczna debata o „zbyt surowej” interpretacji konwencji sprowadza się w praktyce do jednego: do legalizacji okrucieństwa. Państwo mówi wtedy: twoja ucieczka, twoje rany, twoje prawo do azylu i twoje życie są mniej warte niż nasza opowieść o bezpieczeństwie.

A ja, osoba zaliczana do tej części społeczeństwa, którą z uporem i pogardą pakuje się do worka z napisem LGBTQ, nadal bardziej obawiam się łysola z symbolem Polski Walczącej na kurtce niż ciemnoskórego dostawcy kebaba. „Bezpieczeństwo” w ustach władzy to nie realizm. To przemoc przebrana za polityczną dorosłość.

A najśmieszniejsze – tym śmiechem, od którego człowiekowi cierpnie kark – jest to, że wszystko to nadal sprzedaje się jako centrum, umiar, rozsądek, odpowiedzialność. Jakby pałka była bardziej humanitarna, jeśli trzyma ją liberał. Jakby drut żyletkowy mniej kaleczył, gdy rozwiesza go Europejczyk z „właściwym” życiorysem. Otóż nie. Drut jest drutem. Push-back jest push-backiem. A skandal pozostaje skandalem, nawet jeśli od wywiadu minął rok, dwa albo pięć. Zwłaszcza wtedy, gdy ten czas tylko potwierdził, że premier nie opisał wyjątku. Opisał kurs rządu.

I to jest właśnie ta „rzeczywistość”, o której tak chętnie opowiadają nam polityczni celebryci: rzeczywistość, w której prawa człowieka traktuje się jak luksusowy dodatek, a okrucieństwo jak politykę państwową. Bardzo nowoczesne. Hm. A jakoś prawie średniowiecze.

ANNA GRODZKA

eprasa.pl cc7ea89864

Abecadło sprawiedliwości

Burdel w KRS nie przemija

Ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

12 maja dobiegnie końca czteroletnia kadencja Krajowej Rady Sądownictwa. KRS, po pisowskim rebrandingu, od lat dezorganizuje polski wymiar sprawiedliwości. Próby odpolitycznienia organu – który pierwotnie został powołany po to, by strzec niezależności sądów i tym samym być jednym z gwarantów przestrzegania praw obywatelskich – podjął się minister sprawiedliwości Waldemar Żurek. Wiele wskazuje na to, że instytucjonalno-polityczny burdel nieprędko się skończy.

A jak atak

Krajowa Rada Sądownictwa wyłania kandydatów na sędziów, którym następnie nominacje sędziowskie wręcza prezydent. Składa się z sędziów – 15 wybieranych oraz pierwszego prezesa Sądu Najwyższego i prezesa Naczelnego Sądu Administracyjnego z urzędu – a także z polityków: czterech posłów wybieranych przez sejm, dwóch senatorów wybieranych przez senat, ministra sprawiedliwości oraz przedstawiciela prezydenta.

W 2017 r. PiS pamiętną nowelizacją odebrał prawo wybierania 15 sędziowskich członków KRS samorządowi sędziowskiemu i przekazał je sejmowi, podważając zasadę niezależności trzeciej władzy. Status nielegalnej neo-KRS i nominowanych przez nią neosędziów jest kwestionowany w licznych orzeczeniach Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, Sądu Najwyższego i Najwyższego Sądu Administracyjnego. Ministerstwo Sprawiedliwości bardzo chciałoby te orzeczenia wykonać, ale też nie bardzo może.

W lipcu 2024 r. nowelizację ustawy o KRS, która miała ogarnąć legislacyjną stajnię Augiasza, przygotował ówczesny minister sprawiedliwości Adam Bodnar. Zakładała ona wygaśnięcie mandatów członków rady, wybór nowych członków przez środowisko sędziowskie i wykluczenie z kandydowania powołanych po 2017 r. neosędziów. Prezydent Andrzej Duda skierował ustawę do Trybunału Konstytucyjnego, ten z racji wykluczenia części sędziów orzekł jej niekonstytucyjność i ustawa nie weszła w życie. Po rekonstrukcji rządu świeży minister sprawiedliwości Waldemar Żurek w listopadzie 2025 r. przedstawił swój projekt noweli. Zgodnie z jej zapisami 15 sędziów – członków KRS – miało być wybieranych w bezpośrednich, tajnych wyborach organizowanych przez PKW wśród wszystkich sędziów w kraju, a nie jak obecnie przez sejm. Co więcej, do nowej KRS mogliby kandydować sędziowie z co najmniej 10-letnim stażem orzeczniczym i pięcioletnim w danym sądzie, co otwierało drogę także części neosędziów. 23 stycznia sejm przyklepał ustawę, a pięć dni później bez poprawek przyjął ją senat. Zaproponowany przez Żurka kompromis nie uwiódł prezydenta. 17 lutego Nawrocki zawetował nowelizację, argumentując swoją decyzję m.in. obroną stabilności orzeczeń. Brzmi to niemalże szyderczo, jeśli wziąć pod uwagę, że wyroki wydawane przez składy sędziowskie z udziałem neosędziów uznawane są przez niektóre sądy za nieistniejące.

Po ogłoszeniu prezydenckiego weta minister Żurek obwieścił, że nie ustąpi w walce o przywrócenie organów konstytucyjnych obywatelom – i przeszedł do planu B.

B jak barykady

27 lutego sejm przyjął uchwałę, wprowadzającą w życie nową strategię, która nie wymaga zmiany ustawy. Plan opiera się oddolnych działaniach sędziów i deklaracji sejmu. Kandydatów – tak jak stanowi pisowska ustawa – zgłaszać mogą grupy co najmniej 25 czynnych sędziów lub 2 tys. obywateli; spośród tych kandydatów członków KRS wybierze sejm. Tyle tylko że uchwała wprowadza zobowiązanie i instrukcję dla sejmu i jego organów oraz apel do środowiska sędziowskiego. Mianowicie: kandydatów do przedstawienia sejmowi wybiorą spośród siebie sędziowie na zgromadzeniach w sądach wszystkich szczebli, w tajnym głosowaniu. Kandydaci wybrani przez środowisko sędziowskie będą tymi, których – formalnie zachowując wszystkie etapy ustawy – kluby wskażą, komisja umieści na liście, a sejm ostatecznie wybierze. Zamysł jest więc taki, aby w drodze zwyczaju oddać wybór sędziowskiej części KRS w ręce sędziów, a nie w łapy polityków. Manewr ma uczynić KRS bardziej niezależną i zgodną ze standardami polityki UE. Prezesi 10 z 11 sądów apelacyjnych zadeklarowali pomoc w organizacji takiego głosowania. Na tym koniec dobrych wiadomości dla Żurka i praworządności.

C jak cyrk

Również 27 lutego pisowscy sędziowie zasiadający w obecnej KRS podjęli uchwałę w sprawie skierowania do Trybunału Konstytucyjnego wniosku o zbadanie konstytucyjności przepisów ustawy o KRS autorstwa PiS. Wniosek dotyczy przepisów regulujących procedurę zgłaszania kandydatów, konkretnie: weryfikacji statusu sędziów przez ministra sprawiedliwości, odmowy przyjęcia zgłoszenia obywatelskiego z powodu braku wymaganej liczby podpisów oraz zaskarżenia odmowy do Sądu Najwyższego. KRS wniosła o stwierdzenie niezgodności tych przepisów z art. 60 (prawo dostępu do służby publicznej), art. 31 ust. 3 (ograniczenia wolności) i art. 8 (zasada legalizmu/nadrzędność konstytucji). Brzmi głupio, ale w tym szaleństwie jest metoda. O tym za chwilę. Rada zawnioskowała też o zabezpieczenie procedury. TK miałby zakazać sejmowi i jego organom (w tym marszałkowi) dokonywania jakichkolwiek czynności wiązanych z nowym wyborem KRS na podstawie tych przepisów do czasu wydania wyroku – pod rygorem ich nieważności.

Równolegle grupa posłów PiS (m.in. Michał Wójcik i Marcin Warchoł) przedstawiła wniosek do TK o zbadanie konstytucyjności całej ustawy o KRS (tak, wersji z 2017 r., autorstwa PiS). Wiewiórki donoszą, że ojcem chrzestnym powyższego pomysłu jest osobiście pozostający na uchodźstwie eksminister Ziobro.

D jak dupa

Ziobrowy diabeł tkwi w szczegółach. Hak na uchwałę Żurka czeka w ustawie z 2017 r. Kandydat może być zgłoszony przez grupę co najmniej 25 czynnych sędziów. Marszałek Czarzasty w ciągu trzech dni musi zwrócić się do ministra Żurka o potwierdzenie, że wszyscy sędziowie popierający posiadają status sędziego. Jeśli minister Żurek nie potwierdzi statusu choćby jednego z 25 sędziów (np. uzna, że to neosędzia powołany wadliwie), Czarzasty musi odmówić przyjęcia zgłoszenia, a kandydat odpadnie z gry. Odmowę można jeszcze zaskarżyć do SN, który też jest obsadzony neosędziami. Procedura jest ustawowa. Marszałek nie może zignorować obowiązku pytania ministra, bo naruszyłby przepisy. Żurek ma nie tylko prawo, ale wręcz obowiązek nie potwierdzić statusu neosędziów, bo rząd i szereg instytucji uznają ich powołanie za nielegalne. Aktualnie urzędująca KRS skarży dokładnie ten mechanizm do TK, żeby rzucić Żurkowi kłody pod nogi.

Gdyby założyć (co jest bardzo możliwe), że TK przychyli się do wniosku pisowskiej KRS i wyda postanowienie o zabezpieczeniu, możliwe są dwa scenariusze.

Bez względu na opinię Żurka Czarzasty nie będzie mógł odmówić przyjęcia zgłoszenia kandydata, a sejm zostanie zobowiązany do przyjęcia listy w takim kształcie. Delikatnie mówiąc, wątpliwym prawnie. Jeśli rząd koalicyjny ogłosi, że ma w pompie postanowienie upolitycznionego TK z dublerami i plan B wejdzie w życie, używanie będzie miał prezydent Nawrocki. Może nie tylko odmówić powołania KRS w nowym kształcie, ale – o czym już przebąkiwał – złożyć wniosek o referendum, w którym zada społeczeństwu niemającemu pojęcia o trójpodziale władzy pytanie np. o poparcie utrzymania obecnego składu KRS. Śmieszno i straszno.

W przypadku odmowy powołania żurkowej KRS przez prezydenta z automatu przedłuży się kadencja rady pisowskiej. Rząd i większość sędziowska uznają nową KRS, a wtedy będą dwie rady i jeszcze większy bajzel.

Waldemar Żurek 27 lutego przekazał mediom, że będzie plan C. Póki co nie chciał zdradzać szczegółów. Słusznie, spokojnie. Do końca alfabetu jeszcze wiele liter.

IDALIA DUBICKA

Zupa u Żurka

Sprawa piątki z Hajnówki pod szczególnym nadzorem

Jak nam doniosły wiewiórki z pałacu sprawiedliwości, delegacja z Prokuratury Regionalnej w Białymstoku, z jej szefem Tadeuszem Markiem na czele, wylądowała na początku lutego na dywaniku u Waldemara Żurka. Minister sprawiedliwości i prokurator generalny w jednym chciał z nimi przedyskutować sprawę piątki z Hajnówki – wolontariuszy pomagających migrantom na pograniczu polsko-białoruskim, uniewinnionym w ubiegłym roku przez sąd pierwszej instancji, m.in. za nakarmienie ich w ciemnym lesie ciepłą zupą.

Marek na wycieczkę do Warszawy zabrał ze sobą szefa hajnowskiej prokuratury Marka Dąbrowskiego – bo to jego prokuratura w osobie śledczej Magdaleny Rutyny nie zgodziła się z wyrokiem uniewinniającym i złożyła apelację do Sądu Okręgowego w Białymstoku.

Jak szepczą przy Alejach Ujazdowskich w Warszawie, Żurek miał pretensję do Marka, że na audiencję do niego nie pofatygowała się sama Rutyna, gdyż to ona jest twarzą tej bezprecedensowej nagonki na piątkę i w naturalny sposób wie o sprawie najwięcej.

Świadkiem zjebki podlaskich prokuratorów w wykonaniu Żurka miała być prześladowana przez pisowski reżim prokuratorka Ewa Wrzosek, radca generalny w biurze ministra sprawiedliwości, z funkcją formalnej łączniczki między nim a Prokuraturą Krajową.

Co wynikło z tego tajnego spotkania? Nie wiemy. Wiemy tylko tyle, że póki co apelacja w sprawie piątki czeka na wyznaczenie terminu rozprawy w sądzie okręgowym. A to oznacza, że nikt jej z sądu nie wycofał.

JMP

Towarzysze wyklęci

Razem w chórze IPN

1 marca, z okazji ustanowionego przez Bronisława Komorowskiego czczenia wyklętych, na fejsbukowym profilu Partii Razem pojawił się mem upamiętniający Łukasza Cieplińskiego ps. Pług. W tym dniu polska polityka odpala swój najbardziej zużyty teatrzyk historyczny: jedni każą klaskać „niezłomnym" bez zadawania pytań – drudzy mają siedzieć cicho, żeby przypadkiem nie wyjść na agentów późnego Bieruta. Sam Narodowy Dzień Pamięci „Żołnierzy Wyklętych" został pomyślany jako hołd dla drugiej konspiracji, ale w praktyce od dawna działa jak państwowa maszyna do produkcji hagiografii. Czemu Partia Razem przykłada do tego rękę?

Problemem nie jest samo wspomnienie Łukasza Cieplińskiego. Problemem jest to, że upamiętnia się go w Polsce nie jako postać historycznie tragiczną i uwikłaną, lecz jako gotowy obrazek świętego niezłomnego, którego życiorys ma działać jak polityczny katechizm. Tymczasem Ciepliński nie był wyłącznie „ofiarą komunizmu" – choć bezspornie nią był. Aresztowany przez aparat bezpieczeństwa przeszedł brutalne śledztwo i został stracony 1 marca 1951 r. jako prezes IV Zarządu Głównego Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość". Ale na tym prawicowa opowieść zwykle się kończy, bo wszystko, co było wcześniej, przeszkadza w budowie pomnika.

A wcześniej nie było żadnej świętej legendy, tylko konkretna polityczna i zbrojna walka o kształt powojennej Polski. WiN nie był przecież kółkiem dyskusyjnym od miłości do wolności, lecz organizacją konspiracyjną działającą w realiach brutalnej powojennej wojny domowej. Nawet materiały IPN – a trudno posądzać tę instytucję o niechęć do tego środowiska – przyznają wprost, że w akcji „O" – „Odpluskwianie" – „uderzano szczególnie w działaczy PPR". W opisach działalności powojennego podziemia znajdziemy nie tylko likwidacje funkcjonariuszy UB, ale również działaczy PPR i osób uznawanych za współpracowników nowej władzy. To nie jest więc żadna „czarna propaganda", tylko element opisu samego obozu, którego jednym z symboli uczyniono dziś Cieplińskiego.

I tu zaczyna się zasadniczy problem dla lewicy, która lekką ręką wrzuca do sieci upamiętniające memy. Bo działacz PPR w latach 1945–1946 nie był wyłącznie figurą z prawicowego podręcznika, według którego każdy taki człowiek to po prostu „sowiecki namiestnik". Był często również kimś, kto uczestniczył w budowie nowego porządku społecznego – porządku brutalnego, zależnego od Moskwy i naznaczonego przemocą, ale zarazem niosącego realną zmianę klasową dla milionów ludzi z dołów społecznych. Reforma rolna nie była dla bezrolnego chłopa abstrakcyjnym manewrem geopolitycznym. Była ziemią. Była szansą. Była pierwszym momentem, gdy państwo – choćby siermiężne i podporządkowane – przyszło nie tylko po podatek, pobór i posłuszeństwo, ale także z kawałkiem gruntu.

Jeżeli więc czci się bez dopowiedzeń ludzi stojących po stronie obozu, który traktował działaczy PPR jako cele polityczne i fizyczne, to nie czci się już tylko „ofiary stalinowskiego terroru". Czcimy również stronę konfliktu, która występowała przeciw ludziom utożsamianym z reformą społeczną, awansem biedoty wiejskiej i rozbijaniem przedwojennej hierarchii własności. To nie znaczy, że należy wybielać UB, wojskowe sądy czy mokotowską katownię. Nie. To znaczy tylko tyle, że historia nie składa się z aniołów mordowanych przez diabły. Składa się z ludzi uwikłanych w starcie dwóch porządków: jeden niósł terror państwowy, drugi – obok antykomunistycznej legendy – niósł również przemoc wobec lokalnych przedstawicieli nowego ładu, a nawet tylko tych, którzy na tym ładzie skorzystali.

Dlatego upamiętnianie Cieplińskiego przez partię lewicową nie wygląda jak gest „ponad podziałami", lecz jak intelektualna kapitulacja. To już nie jest nawet próba odzyskania patriotycznego języka. To przyjęcie cudzego podręcznika,

w którym o powojennej Polsce wolno mówić wyłącznie językiem narodowej martyrologii, a każda pamięć o społecznych aspiracjach biedniejszych klas ma zniknąć pod warstwą patosu, sztandarów i kotwiczek.

Lewica nie musi czcić stalinowskiego państwa. Ale jeśli nie potrafi odróżnić pamięci o ofierze represji od gloryfikacji politycznego symbolu obozu, który strzelał także do ludzi związanych z rewolucją społeczną, to przestaje być lewicą, a staje się tylko nieśmiałą przybudówką narodowego chóru. I wtedy zostaje już tylko wspólne odśpiewanie pieśni ku czci „wyklętych" – fałszywie, bez przekonania, ale za to w idealnej zgodzie z obowiązującą państwową religią historyczną.

DAMIAN DUSZCZENKO

PS 2 marca mem zniknął. Czyli Zandberg jednak czuwa: może i czasem za późno, ale jeszcze nie pozwala, by Razem całkiem zamieniło się w młodzieżówkę „Przystanku Historia".

eprasa.pl cc7ea89864

SŁOWO CZERWONE

Armaty zamiast masła

Czy powinniśmy się bać?

Ludzie godzą się na szaleńcze wydatki na obronność, bo chcą, by Polska uzbrojona po zęby mogła spokojnie czekać na rosyjską inwazję. Przekonano ich, że ten atak jest nieuchronny – bo gdyby Polacy w to nie wierzyli, może mniej chętnie umieraliby w kolejce do lekarza czy podstawowych badań, dzięki którym mieliby większą szansę na przeżycie. Duża część tego, co powinniśmy wydawać na ochronę zdrowia, budownictwo mieszkaniowe, naukę, pomoc społeczną, idzie na broń – głównie z USA.

Rys. MARCIN CHUDZIK

Gdyby jednak odrzucić tezę o nieuchronnym rosyjskim ataku na Polskę – w ogóle na państwa NATO – konieczność udziału w szaleńczym wyścigu zbrojeń nie jawiłaby się jako taka oczywistość. Wtedy pomoc Ukrainie byłaby bardziej bezinteresowna. Bo przekazywanie przez Polskę uzbrojenia broniącemu się przed agresją Rosji sąsiadowi byłoby aktem braterstwa, a nie samoobrony.

Polska prawica, podobnie jak Trump, nie chce już dawać Ukrainie nic za darmo. To właśnie – dawanie Ukraińcom amerykańskiej broni za darmo – Trump zarzucił swemu poprzednikowi, Joe Bidenowi, w ostatnim liście do Zełenskiego. Gdyby jednak nie to bezinteresowne wsparcie amerykańskie na początku konfliktu – Rosja wygrałaby wojnę i Ukraina jako niepodległe państwo przestałaby istnieć.

Dla naszej prawicy to oczywiście żaden problem, bo ona się buduje na rosnącej niechęci do Ukrainy i Ukraińców. Prezydent Nawrocki rozpętał niedawno burzę wokół faktu, że go nie poinformowano o przekazaniu polskich samolotów bojowych Ukrainie. Sugerował w ten pokrętny sposób, że gdyby to od niego zależało, on by tych samolotów „za darmo" nie przekazał. I znów: jeżeli zdołamy przekonać naszych rodaków, że grozi nam rosyjska inwazja, że po Ukrainie Polska jest następna w kolejce – to opór przeciwko dalszemu wspieraniu Ukrainy będzie mniejszy.

Trump nakrzyczał na Europę, że od II wojny światowej wozi się na gapę, pozostawiając USA dbanie o nasze bezpieczeństwo. W ten sposób przekonał nasze władze, że musimy 5 proc. budżetu przeznaczać na zakup broni – głównie w USA. Przekonanie, że Rosjanie uderzą na państwa NATO, jest tym silniejsze, im częściej Trump napomyka, że Stany mogą w każdej chwili NATO opuścić.

Bo oczywiście bez wsparcia USA atak na Europę jest bardziej prawdopodobny, bo Europa zdążyła się rozbroić…

Kiedy wojska Budionnego szły na Warszawę, chodziło o przeniesienie rewolucji do Europy Zachodniej. Trudno jednak sobie wyobrazić, jaki rosyjski interes przemawia dziś za tym, żeby podjąć atak na europejskie kraje NATO.

Rosja dobrze się miała, kiedy była dla krajów Zachodu stacją benzynową.

Pytanie, czy pod rządami Trumpa NATO będzie nas nadal chronić swym parasolem atomowym? Pomysł, żeby Europa zaczęła się zbroić tak, by móc stawiać opór ewentualnej agresji bronią konwencjonalną, wynika z malejącego zaufania do sojusznika zza oceanu. Stąd program SAFE. Większość tych 43 mld euro pożyczki ma być wydana na produkcję broni w Polsce. Skoro więc budujemy europejskie konsorcjum zbrojeniowe, to pomysł wydawania 5 proc. PKB na zakupy uzbrojenia na innych niż europejski kierunkach wydaje się już przesadny.

Trump w liście do Zełenskiego pisze: „Zapasy amunicji Stanów Zjednoczonych średniej i średniowysokiej jakości nigdy nie były większe. Dzięki tym zapasom (są one lepsze niż najlepsze zapasy innych krajów!) możemy prowadzić wojny w nieskończoność i odnosić w nich sukcesy"… Ktoś, kto snuje fantazje o wywoływaniu kolejnych wojen, przypomina raczej szaleńca niż solidnego sojusznika. Zwłaszcza że zdążył już zagrozić jednemu z państw NATO, Danii.

Polaków zdążono już tak bardzo wystraszyć wizją wojny światów – czyli nieuchronnym rzekomo atakiem Rosji na Polskę i NATO – że wzywanie do umiaru i zwolnienia tempa wydatków zbrojeniowych i o przekierowanie tych środków na zaspokojenie pilniejszych potrzeb społecznych oznacza wykluczenie z polityki.

Warto jednak uświadomić sobie, że z powodu niedoborów w służbie zdrowia ludzie mrą tu i teraz. A wojna z Rosją należy do zdarzeń bardzo niepewnych i bardzo przyszłych.

Sytuację komplikuje fakt, że nastroje antyukraińskie są w Polsce coraz silniejsze – wg CBOS odsetek Polaków popierających przyjmowanie uchodźców z Ukrainy spadł poniżej 50 proc. Ale z Ukrainą póki co na szczęście wojny nie planujemy. Chociaż nigdy nie wiadomo, co się marzy Braunowi.

Putin uzasadniał konieczność napaści na Ukrainę rosnącym zagrożeniem Rosji przez Zachód. Perspektywę wejścia Ukrainy do NATO prezentował Rosjanom jako zaciskanie natowskiej pętli wokół Rosji – zwłaszcza że doktryna wojenna NATO pozostawiała Rosję w roli największego zagrożenia. Głównego wroga. To wytłumaczenie większość Rosjan przekonało. Dlatego trudno liczyć na jakiś antywojenny przewrót w Rosji.

Szarży na Zachód – gdyby w akcie szaleństwa jej dokonał – Putin nie miałby jak wytłumaczyć. Bo takiego racjonalnego wytłumaczenia nie ma. Rosjanie zgodzili się na „operację specjalną", bo boją się NATO. My wydajemy krocie na zbrojenia, bo boimy się Rosji.

PIOTR IKONOWICZ

Jaki kraj, taki Luwr

W Paryżu kradną klejnoty koronne. W Polsce – brykiet.

„To był cios w historię Francji i światowego dziedzictwa" – tak komentowano 19 października 2025 r. włamanie do Galerii d'Apollon w Luwrze, muzeum uznawanego za twierdzę bezpieczeństwa i ikonę kultury.

A wydawało się, że nawet najwybitniejsi złodzieje omijają Paryż szerokim łukiem. Aż tu czterech mężczyzn – maskujących twarze kominiarkami i przebranych za robotników budowlanych – podjechało pod muzeum i rozpoczęło napad, który trwał niecałe siedem minut. Z pomocą podnośnika zamontowanego na ciężarówce i przecinarki weszli przez balkon pierwszego piętra, przecięli szybę gabloty i wyrwali z niej osiem klejnotów koronnych francuskich władców z XIX w.

Włamanie do toalety

Jesienią 2024 r. pod Gliwicami dwaj mężczyźni postanowili zrobić skok. Kominiarki na głowach, łom w ręku i firma, która miała mieć sporo gotówki. Pierwsze drzwi wyłamali dość sprawnie, ale uruchomienie alarmu zmieniło ich plany. Gdy usiłowali dostać się do kolejnych pomieszczeń, bo „przecież skarb musi być dalej", coś w ich planie budynku nie zagrało, bo trafili do toalety. „Liczyli na sejf, a znaleźli ceramiczny sedes i pustą miskę", mówił potem jeden z policjantów. Alarm był skuteczniejszy niż ich plan. No i zostawili po sobie wyraźne ślady i nagrania z pobliskich kamer. A ta historia stała się lokalną anegdotą nadgorliwości planowania i ignorancji planów przestrzennych.

Kilka tygodni po gliwickim wydarzeniu, w połowie listopada, oficer dyżurny Komendy Miejskiej Policji w Legnicy otrzymał zgłoszenie, że ktoś w środku nocy – około godziny 2.00 – „uderza łyżką koparki w ścianę" budynku handlowego. Hałasu było tyle, że obudziło to okolicznych mieszkańców. Szło o to, żeby dostać się do kantoru. Koparka robiła wrażenie, przypominała raczej scenę z filmu niż rutynowy napad. „Uderzali w ścianę, za którą znajdował się kantor. Jednak mimo znacznych zniszczeń sprawcom nie udało się przełamać zabezpieczeń. Po nieudanej próbie włamania uciekli" – relacjonowała policja. Kilka dni później dwóch włamywaczy zostało zatrzymanych.

W listopadową noc w Szczecinie do kantoru na Osiedlu Słonecznym wkroczyli dwaj inni zamaskowani mężczyźni uzbrojeni nie w subtelne narzędzia, lecz w wielkie młoty. Uderzali i uderzali – w szybę, która oddzielała ich od skarbonki z walutą. Kamera monitoringu rejestrowała wszystko. Oprócz tego, że przy każdym kolejnym uderzeniu alarm coraz głośniej wył, a hałas przyciągał uwagę coraz większej liczby mieszkańców. W końcu pracownik sąsiedniego kantoru wyszedł sprawdzić alarm i złodzieje, zamiast z łupem, uciekli

Rys. WIDGET

z pustymi rękami. Gliniarze szybko zatrzymali sprawców. Ustalili ich tożsamość, analizując, kto ostatnio w okolicy kupował młoty.

W Małopolsce 42-latek postanowił ukraść kamerę monitoringu z działki w Mogilanach. Ale uznał, że zdjęcie kamery to sukces – nie przewidział, że urządzenie cały czas nagrywa trasę, którą uchodzi z miejsca przestępstwa. Nagranie – choć przedstawiało głównie chodnik i asfalt – pozwoliło szybko ustalić jego tożsamość. Policja nie ukrywała, że złodziej był szczególnie zdziwiony widokiem mundurowych w progu swojego domu. Szczęka opadła mu jednak, gdy mundurowi pokazali gościowi wykonane przez niego samego nagranie.

Kudłata użyteczność

W lipcu w Warszawie łupem padło około 50 kg naturalnych włosów z salonu specjalizującego się w sprzedaży i przedłużaniu kudłów. Włosów o wartości rynkowej około 800 tys. zł. Włamywacz wspiął się po klimatyzatorach, wszedł przez okno w kuchni i metodycznie wybierał najbardziej wartościowe, długie, niefarbowane i blond wiązki, które – jak wyjaśniał później właściciel salonu – są niezwykle poszukiwane przy tworzeniu tresek i przedłużeń. „Każde pasmo, które zniknęło, to nie towar. To godziny naszej pracy, miłości, selekcji, wiary w piękno i w to, co robimy" – pisali przedstawiciele salonu w społecznościówkach.

Włamywacz zabrał tylko to, co najbardziej wartościowe – resztę zostawił. Właściciel salonu nie miał wątpliwości: „Przyszedł po konkretny towar – musiał znać rynek i mieć kupca". Nagranie monitoringu pokazało mężczyznę spokojnie wybierającego włosy, jakby robił zakupy w sklepie. Skończył, zanim ktokolwiek zdążył zareagować.

Grudzień, Zwierzyn. Trzej mężczyźni włamują się do wiaty magazynowej sklepu i kradną brykiet do grilla i znicze. Ślady – rozsypany brykiet i rozerwany worek – były tak oczywiste, że policjanci niemal od razu wiedzieli, gdzie szukać sprawców. Rozsypane brykietowe kule doprowadziły policję do trzech mężczyzn dobrze znanych mundurowym.

9 września limanowska policja otrzymała zawiadomienie z jednego z wiejskich sklepów. Zgłoszenie było na tyle nietypowe, że funkcjonariusze początkowo musieli upewnić się, czy dobrze je zrozumieli. Właściciel sklepu nie informował bowiem o zniknięciach wędlinach, alkoholu czy papierosach. Towar był na miejscu. Brakowało za to tego, na czym towar stał. Według zgłoszenia

sprawca nie interesował się zawartością półek. Interesowały go półki. Nie sięgał po produkty, sięgał po elementy wyposażenia sklepu. Ze środka znikały stoły ekspozycyjne, wózki sklepowe, podesty, wszystko to, co zwykle jest niewidzialne dla klientów.

Kradzieże nie były jednorazowym incydentem. Jak relacjonował właściciel, sprawca pojawiał się kilkakrotnie, systematycznie, jakby realizował plan rozpisany na etapy. Straty, które początkowo wyglądały na drobne nieporozumienie, szybko urosły do kilkunastu tysięcy złotych.

Dla policjantów z Limanowej była to sprawa osobliwa. Sprawdzili monitoring, przeanalizowali zgłoszenia, zaczęli łączyć fakty. Działania przyniosły szybki efekt. Sprawca został ustalony i zatrzymany. Okazał się nim 42-letni mieszkaniec okolic Limanowej. Po zatrzymaniu wyszło na jaw, że facet nie zamierzał na skradzionym wyposażeniu zarobić. Nie próbował go sprzedać, nie wystawiał w internecie, nie oddawał do skupu złomu. Zawiózł je do własnego gospodarstwa. Tam sklepowe wózki, stoły i podesty funkcjonowały teraz jako część wiejskiej infrastruktury. Wózki stały wypełnione słomą, przerobione na zagrody. Stoły ekspozycyjne pełniły rolę przegród. Przedmioty z innego świata, wyrwane z handlowej codzienności, wylądowały tam, gdzie liczy się wyłącznie praktyczność.

W świecie wielkich narracji o kradzieżach dzieł sztuki i muzealnych skarbów limanowski przypadek wygląda jak anegdota. Ale to tylko pozory. Bo mechanizm jest identyczny jak w Paryżu. Jest noc, jest plan, jest selekcja celu i jest świadomość wartości – tylko że nie rynkowej, a użytkowej. 42-latek odpowie za swoje czyny przed sądem, a grożąca mu kara nie zależy od tego, czy łup miał trafić na aukcję w Dubaju, czy na podwórko pod Limanową.

Fun z rogami

I wreszcie kontekst międzynarodowy. Ośmioro turystów z Austrii odwiedziło salon tatuażu Hardcore Tattoo w Krakowie. Spędzili tam cztery godziny, zrobili tatuaże, zapłacili i wyszli.

Kiedy recepcjonista wyszedł do toalety, grupa skorzystała z okazji i ukradła z lokalu obraz przedstawiający Vinniego Stigmę z zespołu Agnostic Front, płyty winylowe i CD, bluzy, figurki i ozdoby – przedmioty o wartości sentymentalnej i kolekcjonerskiej.

„To nie była drobna kradzież – to kradzież z planem" – mówiła mediom właścicielka salonu. Potem z policją śledziła nagrania z kamer z okolicznych ulic i lokali.

Po tygodniu zobaczyła ich w ogródku restauracyjnym na Rynku Głównym – jeden z nich miał nawet skradzioną czapkę. Po zatrzymaniu, zapytani, dlaczego to zrobili, odpowiedzieli: *Just for fun* – dla zabawy.

No i w końcu coś, co gdzieś tam ociera się o Luwr. W nocy z 29 na 30 maja w Muzeum Zamkowym w Pszczynie doszło do kradzieży. Nie w przypadkowym baraku, nie w prywatnej kolekcji, ale w dawnej rezydencji magnackiej, w miejscu, które przez dziesięciolecia było symbolem arystokratycznego przepychu, łowieckiej pasji i kolonialnej egzotyki przeniesionej na śląską ziemię. Sprawcy włamali się do muzeum nocą i zabrali dokładnie to, po co przyszli. Z gablot zniknęły dwa oryginalne rogi nosorożca, eksponaty z przełomu XIX i XX w. Nie było przypadkowego rabunku, nie było grabienia jak leci. Był wybór, selekcja i świadomość wartości.

Dyrektor muzeum mówił bez uciekania w eufemizmy, że skradzione eksponaty mogły już trafić na czarny rynek. Zaznaczył przy tym, że były to autentyczne obiekty historyczne, a nie repliki czy dekoracje. Wartość skradzionych rogów oszacowano na około 75 tys. euro. To nie była kradzież dla kaprysu, to była kradzież pod konkretny rynek zbytu. A to jest właśnie ten rodzaj kradzieży, który rzadko kończy się powrotem przedmiotów do gabloty. Rogi nosorożca nie wracają. One znikają. I w tym sensie kradzież w Pszczynie wcale nie jest prowincjonalna. Ona jest światowa. Tylko skala narracji inna.

Może więc różnica między Luwrem a naszymi realiami nie polega na jakości złodziei, tylko na tym, że w Polsce dla rozgłosu wypadałoby ukraść tylko „Damę z łasiczką"? A skoro pomysł na jej kradzież ma tylko reżyser Machulski, to reszcie zostają wózki, włosy, rogi i brykiet.

TOMASZ BOROWIECKI

eprasa.pl cc7ea89864

Homo popcornus

Kiedyś myślenie miało kolosalną przyszłość. Dziś przestało być potrzebne.

Rys. MARCIN BONDAROWICZ

„W epoce, w której każdy trzyma w dłoni kino, encyklopedię i salę sądową, paradoksalnie nic nie jest już pewne” – te słowa, choć mogłyby pochodzić z jakiegoś futurystycznego eseju, opisują naszą rzeczywistość dokładniej niż większość naukowych raportów. Bo coraz większa część z nas, nie tylko nie wierzy faktom, ale wręcz odczuwa wobec nich podejrzliwość porównywalną z wiarą we własną intuicję. Z tego rodzi się cała plejada zjawisk: od płaskoziemców przez foliarzy po bezkrytycznych wyznawców politycznych narracji, które obiecują „prawdę ukrytą przed tobą”.

Badania pokazują, że znacząca część dorosłych osób zgadza się z fałszywymi informacjami, nawet gdy są one sprzeczne z faktami. Ba, większość z nas potrafi zaakceptować co najmniej jedną fałszywą tezę jako prawdziwą. To nie jest margines – to fenomen masowy, który rozlewa się przez klasy, biura, fora i grupy dyskusyjne.

Czucie i niewiara

Bo problem w tym, że coraz mniej ludzi ufa źródłom opartym na weryfikowalnych faktach, a coraz więcej ufa temu, co przyjmuje emocjonalnie. Psychologowie mówią, że nasz mechanizm poznawczy jest dziś bombardowany emocjami w tempie, którego nasze umysły nie mogą przetworzyć. W efekcie zamiast myślenia mamy reakcję pantofelka: „to jest prawda, bo czuję, że to prawda”.

Dzięki temu żyjemy w epoce, którą socjolodzy i medioznawcy określają mianem postprawdy. W świecie, w którym emocje i indywidualne przekonania mają większą moc niż zweryfikowane informacje.

Niewiara w informacje i nadmiar bodźców zrodziły zjawisko zwane „mózgiem popcornowym”. Bo skoro nie potrafimy ufać faktom i skupiać uwagi na treściach, które wymagają myślenia, to nasze umysły zaczynają funkcjonować jak skaczące ziarna kukurydzy.

Badania wykazują, że używanie mediów społecznościowych i urządzeń cyfrowych wiąże się ze wzrostem objawów zaburzeń koncentracji i innych problemów psychicznych. Osoby korzystające z mediów społecznościowych do dwóch godzin dziennie znacznie lepiej oceniają swoje zdrowie psychiczne niż ci, którzy korzystają z nich intensywnie i bez ograniczeń.

Skaczące ziarenka

Popcornowy mózg to nie jest żadna oficjalna choroba, ale coraz więcej ludzi – zwłaszcza dzieci i młodych dorosłych – doświadcza tego stanu. Zamiast skupić się na jednej rzeczy, cały czas potrzebują kolejnego filmiku, wiadomości, powiadomienia z aplikacji. Gdy nie dzieje się nic „ciekawego”, czują niepokój i natychmiast sięgają po telefon.

Badania pokazują, że zbyt częste korzystanie z internetu sprawia, że mamy problemy z pamięcią, szybciej się denerwujemy, a koncentracja siada. Czasem wygląda to jak ADHD, choć nim nie jest – po prostu nasz mózg się rozpędził i nie potrafi się zatrzymać. Widać to u dzieci. Częściej zapominają, co miały zrobić, gubią rzeczy, przerywają w pół zdania. Ale to samo dotyczy dorosłych, którzy wiecznie mają otwarte 10 kart w przeglądarce, trzy aplikacje i telefon w ręce.

Psychologowie mówią wprost: to nie żadna wada wrodzona, to efekt stylu życia. I choć nie każdemu szkodzi tak samo, to większość z nas odczuwa skutki tego cyfrowego zamieszania. Mózg, zamiast się wyciszyć i porządnie przetrawić informacje, jest ciągle w trybie przeskakiwania między jednym a drugim.

I tu dochodzimy do sprawy poważniejszej. Bo podczas gdy my uczymy się działać coraz szybciej i coraz bardziej powierzchownie, sztuczna inteligencja staje się coraz mądrzejsza. Maszyny już teraz analizują dane szybciej niż jakikolwiek człowiek. Potrafią diagnozować choroby, przewidywać trendy, podsumowywać tysiące stron tekstu w kilka sekund. A co robimy w tym czasie my? Klikamy i przeskakujemy od kotków do szczeniaczków i z powrotem.

I o ile kiedyś to człowiek myślał, a maszyna wykonywała polecenia, dziś zaczyna się to zmieniać. Bo jeśli człowiek zapomni, jak się skupiać, jak analizować, jak łączyć fakty, to nie będzie już miał przewagi nad maszyną. Problem w tym, że szkoły nadal uczą rzeczy, które można znaleźć w internecie w trzy sekundy: daty, wzory, definicje. Ale nikt nie uczy dzieci, jak rozpoznać bzdurę, jak myśleć samodzielnie, jak nie dać się zmanipulować. Nikt nie uczy myślenia – uczy się tylko powtarzania.

Zaklikane pokolenie

Tymczasem coraz więcej małolatów nie potrafi wykonywać podstawowych czynności – wiązania butów, obierania owoców, obsługiwania nożyczek, zapinania guzików. Bo rodzice nie uczą dzieci podstawowych umiejętności życiowych.

Natłok informacji, krótkie i intensywne bodźce, które bombardują dzieci, skracają uwagę i odciągają je od realnych umiejętności. Zamiast cierpliwego, manualnego wysiłku – błysk ekranu. Zamiast nauki samodzielności – rodzic, który zrobi wszystko za dziecko.

W sondażu sprzed kilku lat okazało się, że co czwarte dziecko w wieku od 6 do 16 lat nie potrafi zaparzyć herbaty, a 40 proc. nie umie pokrajać chleba. Rodzice odpowiadali, że nie widzą potrzeby, aby dzieci gotowały. Kuchnia jest – jak twierdziła co trzecia matka – miejscem zbyt niebezpiecznym.

Mamy więc dwa zjawiska jednocześnie: mózg, który szuka natychmiastowej gratyfikacji, i dziecko, które nie wie, jak wygląda prawdziwa praca – nie wie, co to znaczy obieranie ziemniaka, układanie ubrań, czyszczenie butów. To nie są detale. To fundamenty, na których kiedyś budowało się poczucie wartości, odpowiedzialności i wewnętrznego ładu.

Czy popcornowy mózg bierze się tylko z natłoku informacji? Czy może także z braku nauki tego, co naprawdę ważne? Odpowiedź jest brutalna – jedno i drugie. Z jednej strony dzieci są przeciążone edukacyjnie, z drugiej – całkowicie wyręczane w codziennych obowiązkach. Rodzice nie pozwalają im nosić zakupów, wyrzucać śmieci, jeździć autobusem. Dziecko ma być bezpieczne – ale także niezmęczone. To wyklucza jakiekolwiek samodzielne działanie.

To nie jest neutralne dla mózgu. Każda czynność – obieranie jabłka, wiązanie sznurowadła, robienie kanapki – to trening uwagi, planowania i cierpliwości. Bez tego treningu, bez ćwiczenia cierpliwego, fizycznego wysiłku, mózg przyzwyczaja się do działania tylko w cyklu nagrody. Klik – reakcja – emocja – klik. To właśnie fundament tzw. popcornowego myślenia.

Zdolność do koncentrowania się, rozwiązywania problemów i kończenia zadań nie bierze się z podręczników. To umiejętności życiowe powinny być podstawą wychowania. Wiązanie butów, planowanie dnia, zrobienie obiadu, zaopiekowanie się młodszym rodzeństwem – to nie są zajęcia dodatkowe. To fundament. Tymczasem szkoła i dom coraz rzadziej o tym pamiętają. Szkoła skupia się na egzaminach, rodzice – na ambicjach.

W efekcie mamy dzieci, które programują roboty, ale nie wiedzą, jak ustawić temperaturę w pralce. Mówią trzema językami, ale nie potrafią wynieść śmieci. Kodują aplikacje, ale nie umieją złożyć własnej pościeli.

I właśnie to – nie tylko liczba ekranów, ale brak codziennej fizycznej obecności w życiu – prowadzi do tego, że mózg działa jak rozprężony balon z popcornem. Coś pęka, coś przeskakuje, ale nic się nie utrzymuje. Żadna myśl, żadna czynność, żadne zadanie. Wszystko jest na chwilę – i zaraz znika.

A my zastanawiamy się, ile religii ma być tygodniowo, czy spodnie mają nie wisieć w kroku i czy jak małolat rozwali sobie kolano, to pomoc psychologiczna ma doń trafić od razu, czy może następnego dnia. Aż dojdziemy do świata, w którym będzie garstka ludzi potrafiących myśleć głęboko i niezależnie – i cała reszta, która tylko konsumuje to, co im się poda. Klik, przewiń, zapomnij.

Brzmi ponuro? Może. Ale to nie jest wyrok. To ostrzeżenie. Bo jeszcze możemy to zmienić, tylko musimy na nowo nauczyć się jednej prostej rzeczy – myślenia. A potem przygotować dzieci do nowego świata.

TADEUSZ JASIŃSKI

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Przy wejściu na Cmentarz Rakowicki w Krakowie ustawiono trumnomat sprzedający trumny i urny należące do jednego z domów pogrzebowych. Szczerze powiedziawszy, wiedzieliśmy o tym od kilku tygodni, ale informacja ta wydawała nam się tak niewiarygodna, że nawet ta rubryka mogłaby jej nie unieść, jak trumny z trumnomatu. Okazuje się jednak, że to wszystko prawda. Kraków to zupełnie inny stan umysłu i poczucia smaku. Pomysłodawcy trumnomatu wyrazili zaskoczenie ogólnopolską, z reguły nieprzychylną, skalą emocjonalnych reakcji wokół instalacji. Pytanie, kto zwariował, Kraków czy reszta świata, pozostaje zatem otwarte.

▮ Z poznańskiego Nowego Zoo zniknęła samica manula (dzikiego kota) o imieniu Bożenka. Kotka nie ma jednego oka. Mogła zostać celowo wypuszczona lub ukradziona – utrzymują zoopracownicy. Monitoring obejmował wolierę, jednak kamery nie zarejestrowały momentu otwarcia zagrody. Zoo apeluje, by w razie zauważenia kota nie podejmować prób samodzielnego odławiania, lecz skontaktować się z ogrodem lub strażą miejską. Ciekawe, czy Bożenka, niczym kot Schroedingera, jednocześnie jest i nie jest w Poznaniu.

▮ W warszawskim domu aukcyjnym Desa Unicum zlicytowano pierwszy prywatny komputer Zdzisława Beksińskiego – tego malarza, którego zaciukano kozikiem, gdyby ktoś nie pamiętał. Był to Apple Macintosh Classic, z którego artysta korzystał w latach 1992–1997. Estymacja wynosiła 10–15 tys. zł. Sprzęt zachował się w komplecie – z monitorem, klawiaturą, myszą i okablowaniem. Ostatecznie urządzenie sprzedano za czterokrotność ceny wywoławczej – poinformowała Desa Unicum. Widać nazwisko robi swoje. Dla porównania: na ogólnie dostępnych aukcjach Apple Macintosh Classic kosztuje zwykle 3–5 tys. zł w bardzo dobrym stanie i komplecie, a egzemplarz kolekcjonerski z pudełkiem osiąga 5–8 tys.

▮ W Szpitalu im. Mikołaja Kopernika w Łodzi lekarze uratowali bezdomnego, który chciał wychłodzić się na śmierć i uniknąć dalszego kryzysu bezdomności. Uciekinier trafił do placówki w stanie skrajnej hipotermii – temperatura jego ciała wynosiła 26 st. Celsjusza. Serce nie biło przez 11 godzin. Po wielogodzinnej walce i defibrylacji pan Tomasz – ten bezdomny pacjent – odzyskał przytomność. Jego stan stopniowo się poprawia – raportuje służba zdrowia. Kryzys bezdomności zatem nawraca. Wygląda na to, że nawet śmierć nie jest ucieczką od polskiej służby zdrowia.

▮ W Karpaczu 36-letni obywatel Anglii (podkreślamy: Brytol, a nie Ukrainiec, żeby nikt nie krzyczał o uprzywilejowaniu) postanowił sprawdzić, czy Hotel Gołębiewski jest tak solidny, jak go reklamują. Wjechał samochodem w główne wejście, powodując poważne uszkodzenia. Straty oszacowano na 50 tys. zł. Potem, w trosce o kondycję polskich radiowozów, Anglik przetestował ich wytrzymałość, taranując jeden. Badania wykazały, że prowadził pod wpływem. W aucie znaleziono narkotyki. Brytol poddał się karze. Ma zapłacić grzywnę, przekazać 11 tys. zł na Fundusz Pomocy Pokrzywdzonym oraz pokryć koszty szkód. Otrzymał czteroletni zakaz prowadzenia pojazdów na terenie Polski.

▮ W Gdyni zatrzymano 47-letniego cudzoziemca, który próbował ukraść paczkę kabanosów ze sklepu spożywczego, trzymając nóż w zębach. Następnie groził sprzedawcom śmiercią. Po czym uciekł z miejsca kradzieży z nożem i kabanosami. Jednak policja nie dała za wygraną. Sąd zastosował tymczasowy areszt na trzy miesiące. Policja wystąpiła również do straży granicznej o wszczęcie procedury weryfikującej status pobytowy oraz deportację. Cudzoziemskość cudzoziemca nie została wyjawiona. Szkoda. Nie dowiemy się przeto, w którym kraju aż tak walczy się o kiełbasę.

▮ W Gnieźnie w 2025 r. straż miejska ujawniła kilkadziesiąt przypadków niesprzątania po psach. W tej heroicznej walce z gównem pomaga strażnikom no-

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

eprasa.pl cc7ea89864

Brunatni drobnomieszczanie

Podglebie autorytarnej prawicy w Polsce

Skrajna prawica w naszym kraju rośnie na żyznym nawozie brunatnego gówna. Warto na chwilę odejść od pyskatych przedstawicieli zamordystycznych prawaków i skupić nieco uwagę na podglebiu, bez którego nie zyskiwałaby ona tak szerokiego poparcia.

Jeśli zaufać sondażom, to od miesięcy jest jasne, że Koalicja Obywatelska po najbliższych wyborach może mieć większość wyłącznie dzięki Konfederacji Wolność i Niepodległość, a PiS – musiałoby wziąć na pokład nie tylko ich, ale i Konfederację Korony Polskiej. A wspólna siła trzech tenorów na prawo od Kaczyńskiego – Mentzena, Bosaka i Brauna – jest zdecydowanie większa niż PiS-u…

Psychologia zbiorowa drobnomieszczaństwa

Wisława Szymborska miała rację, że „nic dwa razy się nie zdarza" – ale jednocześnie, także w sferze psychologii społecznej i politycznej, pewne mechanizmy, choć nie są jednakowe, to jednak bywają dość podobne.

Faktem niezaprzeczalnym pozostaje, że rodzime drobnomieszczaństwo jest coraz bardziej reakcyjne, potwierdzając trafność obserwacji o prawicowym autorytaryzmie tej warstwy. Ów autorytaryzm nie jest niczym nowym, niekiedy wyradza się on w dyktaturę faszystowską (jak w międzywojennych Włoszech i Niemczech), zawsze jednak jest antydemokratyczny i zamordystystyczny.

No dobrze, ale czym do cholery jest w ogóle to drobnomieszczaństwo, zwane często dla niepoznaki niższą klasą średnią lub starą klasą średnią?

Sięgnijmy do klasycznej pracy znawcy nazizmu, politologa Franciszka Ryszki „U źródeł sukcesu i klęski. Szkice z dziejów hitleryzmu", wydanej nieco ponad pół wieku temu, lecz w swej analizie drobnomieszczaństwa nader aktualnej.

Ryszka podkreśla, że choć kategoria „drobnomieszczaństwo" jest wieloznaczna lub synkretyczna, lecz daje się zdefiniować „jako kwalifikacja wspólnych lub podobnych dążeń, wynikających z uznanego wspólnie systemu wartości, przede wszystkim ekonomicznych, ale nie tylko ekonomicznych".

Najwyżej na skali wartości leżą pracowitość, oszczędność i rzetelność – pomniejszone cechy XIX-wiecznego „człowieka ekonomicznego", który „innym dawał chleb" i „przysparzał bogactwa społeczeństwu".

Nie jest przypadkiem, że na skrajnej prawicy przedsiębiorca jest postacią nieomal mityczną, źródłem wszelkiego dobra, wzorcem dla reszty społeczeństwa, jak być niezależnym. Z tego względu ludzie Brauna powołali do życia fundację Przedsiębiorcy Prawicy. Jak wyjaśniał poseł Korony Włodzimierz Skalik: „Potrzebujemy komunikacji z tymi, którzy walczą na rynku, by podpowiadali nam, naszej sile politycznej, pomagali kształtować pomysły na ustawodawstwo gospodarcze, chcemy korzystać z tych doświadczeń. W odniesieniu do przedsiębiorców chcemy słuchać dobrych rad i pomysłów"…

Z kolei braunista Rafał Foryś z Radomia mówił dziennikarzom: „Główne hasło: odzyskajmy niepodległość na polskiej wsi. Domagam się, żeby ktoś, kto gospodaruje na swoim, mógł sprzedać lub skonsumować to, co wyhoduje". I dodał, że teraz to niemożliwe: „Weterynaria i wszelkie Sanepidy blokują gospodarzom dostęp do własnej żywności".

Dobrze jest, jak jest

Drobnomieszczanom, zauważa Ryszka, bliska jest potrzeba utrzymania status quo, tego, aby było, jak jest, a wszelki postęp ograniczał się do sfery materialnej. To kult swego rodzaju samoograniczenia: nie należy pożądać tego, co nieosiągalne, gdyż społeczne dystanse i hierarchie są konieczne.

To znamienne, że nie ma w ogóle w tyradach skrajnej prawicy miejsca na krytykę osób hiperzamożnych, miliarderów, do których łaszą się politycy. Wiadomo, krezusi są wyżej od nas, mają przywileje zapewniane przez bogactwo i szacunek, jaki z niego płynie. Uderzający jest strach wobec globalnych procesów gospodarczych, politycznych i kulturowych – których pasem transmisyjnym w przypadku Polski zwykle jest Unia Europejska.

Jeśli Braun, pobierający sowitą pensję z Parlamentu Europejskiego, określa UE notorycznie mianem „eurokołchozu", to nie tylko mówi bzdury, lecz próbuje nieznane (a Unia jest tworem bezprecedensowym w skali świata) uczynić znanym, porównując system unijny do rozwiązań z czasu komuny. Jednocześnie jednak naznacza UE niezmywalnym piętnem czegoś całkiem obcego – jak swego czasu krzyczano na demonstracjach: „wczoraj Moskwa, dziś Bruksela, oto zdrajców karuzela!" – nienarodowego, narzuconego nam odgórnie. To coś, co zagraża naszej suwerenności, swobodzie kształtowania biegu spraw w kraju.

Istotną cechą drobnomieszczaństwa są ciasne horyzonty myślowe, zamknięcie w kręgu swoich spraw: swojej rodziny, swojego gospodarstwa, swojego urzędu. Z tego bierze się, powtórzmy za Ryszką, „rozdzielność widzenia (»…a patrząc widzą wszystko oddzielnie«, jak błyskotliwie określa to polski poeta w wierszu o »Strasznych mieszczanach«), stąd ksenofobia względem obcych, stąd uczucie zawiści wobec umiejscowionych w najbliższym górnym przedziale hierarchii społecznej".

Jeśli wziąć pod uwagę źródła poparcia dla skrajnej prawicy, to nienawiść wobec obcych musi znaleźć się wysoko na liście podejrzanych. Z wrogości wobec Ukraińców konfiarze uczynili swój znak rozpoznawczy. Wiadomo, Dmytro czy Oksana kradną nam pracę, a jednocześnie żyją tylko z hojnego polskiego socjalu. W tych środowiskach wprost mówi się o postępującej „ukrainizacji" Polski, panoszeniu się wszędzie „ideologii banderowskiej", „promowaniu ludobójców Polaków".

Konikiem Brauna są Żydzi, przy czym posunął się on aż do negowania holokaustu, nazywając hitlerowskie komory gazowe fejkiem. Przy czym najwyższym wcieleniem rozkładowej roboty, jaką robią Żydzi, jest żydokomuna. Oczywiście Żydzi (zwani czasem dla niepoznaki ironicznie „starszymi i mądrzejszymi") chcą – niczym naziści wobec nich – ostatecznie rozwiązać „kwestię polską" i wygubić „polskich patriotów".

Kluczowe dla drobnomieszczan jest poczucie przynależności do wspólnoty – religijnej, narodowej i ideologicznej. Tu jednak pojawia się zastrzeżenie Ryszki: „wspólnotę pojmuje się jako sumę poszczególnych jednostek albo raczej równoważność interesu zbiorowości z interesem własnym".

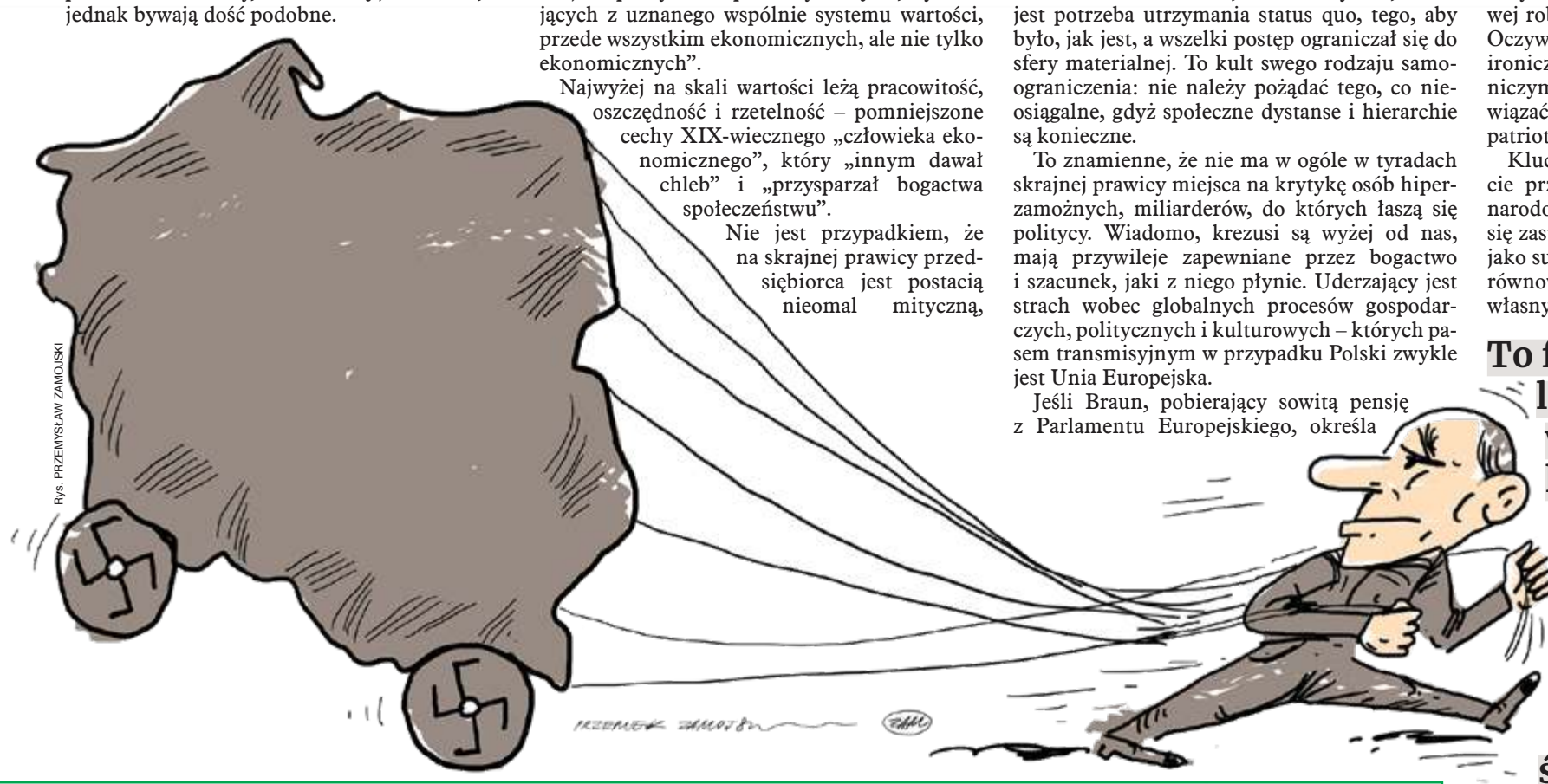

Rys. PRZEMYSŁAW ZAMOJSKI

To fascynujące, gdy czyta lub słucha się tych wszystkich prawaków, że nieomal zawsze – chyba przeważnie w sposób nieuświadomiony, choć jak zawsze zdarzają się i ludzie cyniczni do szpiku kości – interes Polski jest w pełni zbieżny z ich interesem ekonomicznym i ideologicznym.

Drobnomieszczanin uważa, że skoro on szanuje księdza, że o biskupie nie wspomnę, to czcią klechów powinni otaczać wszyscy, bez względu na wyznawany światopogląd. Jeśli on szermuje hasłem „Polska dla Polaków", to powinien ów slogan stać się oficjalną polityką państwową.

Sebastian Pitoń, reakcyjny góral brylujący w mediach społecznościowych, który swego najmłodszego syna kształcił w domu, przekonywał, że „każda szkoła z zasady musi podważać władzę rodzicielską, więc niszczy autorytet rodziców". Co więcej: „w polskich grupach rówieśniczych dochodzi do potwornej demoralizacji. Na wycieczkach szkolnych jest seks we wszystkich konfiguracjach, są też narkotyki". Nie dziwota zatem, że Pitoń opowiada się za zniesieniem obowiązku szkolnego…

Od rana bełkot…

Oczywiście, skrajną prawicę trzeba jebać i się nie bać. To nakaz chwili. Warto jednak mieć świadomość, że jej sukcesy – a brunatna fala pochłania coraz więcej osób – wywodzą się ze świata drobnomieszczaństwa. Tego samego, o którym wspomniany przez Ryszkę Julian Tuwim pisał:

„Jak ciasto biorą gazety w palce
I żują, żują na papkę pulchną,
Aż papierowym wzdęte zakalcem,
Wypchane głowy grubo im puchną".

I to, co przeżują, idzie w świat w postaci brunatnego gówna!

ZUZANNA JURCZYŃSKA

---

woczesny monitoring miejski. Wyobraźcie sobie tych dzielnych funkcjonariuszy, którzy wypatrują w kamerach, czy pies zdefekował, czy tylko się odlał, a potem dokonują analizy personaliów właściciela przy pomocy AI. Nowoczesność! W ośmiu sprawach nałożono mandaty na łączną kwotę 3 tys. zł. Maksymalna kara za zanieczyszczanie przestrzeni publicznej wynosi 500 zł. Budowa państwa opresji trwa.

▮ Ruch Miasto Jest Nasze złożył w sejmie petycję podpisaną przez 20 tys. osób, domagając się wprowadzenia w Polsce fotoradarów akustycznych. Urządzenia miałyby automatycznie wyłapywać niedopuszczalny poziom hałasu i wystawiać mandaty tym, którym tłumik pomylił się z megafonem. Podobne systemy testują już Paryż, Berlin i Nowy Jork – czyli wiadomo, cywilizacja. Autorzy petycji przypominają, że hałas potrafi sięgać 150 decybeli, co nie jest już dźwiękiem silnika, tylko raczej próbą startu z lotniskowca. Oczywiście z tymi rycerzami w ćwiekowanych kurtkach, którzy podrasowują wydechy tak, by pół dzielnicy myślało, że rusza piła tarczowa, coś zrobić trzeba. Czy radarami? Matka natura już walczy po swojemu. W 2024 r. w wypadkach z udziałem motocykli zginęło 216 kierujących i 13 pasażerów, a ponad 2 tys. zostało rannych. Pytanie tylko, czy matka da radę?

▮ Według policyjnego komunikatu w Kadłubie (woj. opolskie) doszło do podwójnego zabójstwa (kurwa, jasne, przecież zdarzenia dzieją się same). W każdym razie w domu jednorodzinnym znaleziono dwa trupy: 38-letniego mężczyzny i 92-letniej kobiety. Ofiary zostały zabite siekierą. W powiecie krapkowickim policja zatrzymała 17-latka w charakterze podejrzanego. To jest oczywiście argument za złagodzeniem przepisów dotyczących nabywania przez Polaków broni palnej. Czym wcześniej, tym lepiej. Nie może być tak, że mordujemy się siekierami. Strzał w potylicę to zupełnie inna sprawa.

▮ Czterokadencyjny prezydent Częstochowy Krzysztof M. usłyszał zarzuty w śledztwie wydziału Prokuratury Krajowej w Katowicach. Pierwszy dotyczy przyjęcia w latach 2018–2022 co najmniej 40 tys. zł w zamian za zmiany w budżecie miasta, które miały ułatwić życie wskazanemu przedsiębiorcy. Drugi obejmuje okres od 2020 do października 2025 r. i mówi o przyjmowaniu korzyści majątkowych w kwocie 129 tys. zł. Prokurator wnioskował o trzymiesięczny areszt. Chwila arytmetyki. Razem 169 tys. zł przez siedem lat. Średnio około 66 zł dziennie. Czyli mniej więcej tyle, ile kosztuje obiad w barze z dostawą i kompotem. Dajcie spokój z taką korupcją.

▮ Funkcjonariusze wydziału do walki z korupcją w Kielcach zatrzymali lekarza zespołu opieki zdrowotnej w powiecie jędrzejowskim. Jest podejrzany o łapówki w zamian za wystawianie recept, zwolnień lekarskich i innych dokumentów medycznych. Aresztowano go w przychodni. Podczas przeszukania policjanci zabezpieczyli ponad 35 tys. zł (niezła dniówka, nie to co u tego biednego prezydenta Częstochowy). Usłyszał łącznie 124 zarzuty korupcyjne. Prokuratura zastosowała dozór policji, poręczenie majątkowe 60 tys. zł oraz zawieszenie w prawie wykonywania zawodu lekarza (no to jest najgorsze: jak on potem zapłaci tę grzywnę, co mu sąd przysoli?).

▮ Według lutowego sondażu CBOS największym zaufaniem Polaków wśród zagranicznych liderów cieszy się Wołodymyr Zełenski (49 proc. zaufania, 28 proc. nieufności). Od 2022 r. jego poparcie spadło o 37 pkt proc. Na kolejnych miejscach znaleźli się Emmanuel Macron (36 proc. zaufania) oraz Giorgia Meloni (35 proc.). Ponad połowa badanych deklaruje nieufność wobec Donalda Trumpa (56 proc.) i Viktora Orbána (53 proc.). Największą nieufność budzą Władimir Putin (91 proc.), Alaksandr Łukaszenka (86 proc.) oraz Binjamin Netanjahu (53 proc.). Badanie przeprowadzono na reprezentatywnej próbie 967 dorosłych mieszkańców Polski.

▮ W Zakopanem wrzało. Ostatnia rada miasta zamieniła się w bitwę o przetrwanie. Radni debatowali nad fatalnym stanem obrony i brakiem przygotowania na sytuacje kryzysowe. Radny Józef Figiel bił na alarm w sprawie braku schronów i niedoprecyzowanych kierunków ewakuacji. Wiceburmistrz Zakopca Bryjak, chcąc dodać otuchy, wspomniał, że trzeba szkolić się samemu. Podał przykład obecnych władz miasta: „Z naszej czwórki dwie osoby mają pozwolenie na broń i świecą przykładem, żeby w razie potrzeby móc stanąć w obronie ojczyzny lub swojej własnej osobistości". A co z resztą mieszkańców? No cóż, w Zakopanem, jak widać, każdy orze jak może – albo strzela.

▮ Starosta powiatu otwockiego Tomasz Laskus ogłosił ostateczne rozwiązanie kwestii dzików na terenie podległego mu obszaru. W związku z narastającym zagrożeniem, jakie stanowiły te barbarzyńskie, kulturowo obce elementy dla bezpieczeństwa obywateli, zarządził natychmiastowy odstrzał 100 osobników w Józefowie, 200 w Otwocku oraz 100 w gminie Karczew. Te okrutne, bezduszne zwierzęta zakłócały codzienne funkcjonowanie mieszkańców i stwarzały zagrożenie dla bezpieczeństwa. Niekontrolowany przyrost dzików powodował, że w wielu miejscach powiatu nie dało się normalnie żyć. Starosta apelował również do wszystkich prawomyślnych obywateli o nieutrudnianie pracy grupom zadaniowym myśliwych, które z poświęceniem wykonują swoje obowiązki. Ingerencja osób trzecich mogłaby stanowić poważne zagrożenie dla powodzenia akcji oczyszczania.

RJ

PS Te wiadomości pochodzą z prasy regionalnej. Z całego kraju. Traktujmy je więc z uprzejmą, kontrolowaną powagą. Taką, jaką rezerwuje się dla prognozy pogody na trzy tygodnie do przodu. Nie budujmy na tym filozofii życia, teorii upadku cywilizacji ani planów naprawy wszechświata.

eprasa.pl cc7ea89864

Zombie Pinocheta

Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

11 marca rządy w Chile obejmie José Antonio Kast

Wydawałoby się, że Chile wciąż nosi głębokie rany po zamachu stanu z 1 września 1973 r. – kiedy demokratycznie wybrany rząd Salvadora Allende został obalony przez krwawą dyktaturę wojskową, popieraną i podżeganą przez Stany Zjednoczone, które rękami zainstalowanej przez siebie junty wprowadziły w kraju terror, tortury, masowe zaginięcia, przymusowe wygnanie tysięcy obywateli i represje społeczne. Zapowiadająca się wówczas pokojowa, socjalistyczna transformacja społeczeństwa chilijskiego została krwawo stłumiona w obronie interesów międzynarodowego kapitału i zapoczątkowała brutalne laboratorium neoliberalizmu w Ameryce Łacińskiej.

111 dni

Dlatego polityczny krajobraz Chile różnił się od innych państw Ameryki Łacińskiej; tragedia ta pozostawiła niegojące się rany i lęk przed przemocą państwową, autorytaryzmem i odmową praw w imię domniemanego porządku. Wyglądało na to, że w tym kraju radykalna prawica nie ma szans.

Tymczasem pół wieku po zamachu stanu w wyborach prezydenckich, których druga tura odbyła się w 14 grudnia zeszłego roku, zwyciężył José Antonio Kast, który z dumą mówił, że gdyby Augusto Pinochet żył, napewno zagłosowałby na niego. I pewnie ma rację.

Kast zdobył 58 proc. głosów, pokonując tym samym lewicową kandydatkę Jeanette Jarę. Zwycięstwo to triumf prawicy skoncentrowanej na kwestiach bezpieczeństwa, imigracji i polityki konserwatywnej – co niestety oznacza największy zwrot kraju w prawo od powrotu do demokracji w 1990. Chile wybrało prezydenta, który wykorzystuje strach przed imigrantami, ksenofobię i nostalgię za Pinochetem. Obszarem, w którym brutalność Kasta całkowicie się obnażyła, jest polityka migracyjna. W mediach społecznościowych prawicowy prezydent elekt postawił nielegalnym migrantom ultimatum: „Macie 111 dni na dobrowolne opuszczenie Chile" – wyznaczając termin na 11 marca, datę swojej inauguracji. W przeciwnym razie obiecał ich „zatrzymać, przetrzymywać, wydalić i odesłać z tym, co mają przy sobie".

Kast w tych groźbach nie ogranicza się tylko do imigrantów – kieruje je także do każdego, kto imigrantom oferuje pomoc, zrozumienie i wsparcie. Kryminalizuje w ten sposób wszelką solidarność społeczną, zamieniając ją w przestępstwo. Proponowana przez Kasta koncepcja polityki bezpieczeństwa wpisuje się w klimat militaryzacji Ameryki Łacińskiej – którego najlepszym przykładem są działania podjęte w Argentynie pod rządami Javiera Mileia: utworzenie policji migracyjnej i zaostrzenie przepisów dotyczących pobytu, dostępu do opieki zdrowotnej i edukacji dla cudzoziemców.

Zwycięstwo Kasta wzmocniło postrzeganie migranta jako kozła ofiarnego – co bardzo pomaga w odwróceniu uwagi od prawdziwych przyczyn coraz większych strukturalnych nierówności i win wielkiego biznesu.

Nostalgia za juntą

Należy też zwrócić uwagę na stanowisko Kasta w kwestii pamięci historycznej i praw człowieka. Zapowiada on uwolnienie ponad 70 więźniów skazanych za zbrodnie przeciw ludzkości – w tym znanego wszystkim Miguela Krassnoffa, odpowiedzialnego za setki przypadków porwań, tortur, morderstw i zaginięć w okresie dyktatury Pinocheta. Postać nowo wybranego prezydenta jest ściśle związana z tym faszystowskim dziedzictwem.

Kast przez lata głosował w parlamencie przeciw reformom dotyczącym praw kobiet, edukacji publicznej i zdrowia reprodukcyjnego, odwiedzał więźniów skazanych za przestępstwa państwowe, a w dyskusjach usprawiedliwiał reżim wojskowy i relatywizował zbrodnie dyktatury i aparatu represji. Przed drugą turą wyborów organizacje społeczne, ofiary dyktatury i znane postacie ruchu obrony praw człowieka wydały oświadczenie przestrzegające przed powrotem bezkarności w przypadku dojścia do władzy skrajnej prawicy. Ci, którzy przegrali, zawsze odczuwają ból – ale wynik tych wyborów jest szczególnie bolesny dla matek zaginionych i wszystkich ofiar pinochetowskich represji, które obawiają się, że ich cierpienie może zostać znormalizowane lub zapomniane.

Niewątpliwie społeczno-ekonomiczna wizja Kasta dotycząca kwestii ubóstwa, migracji, czyli roli państwa była przeciwna tej przedstawionej przez Jeanette Jarę – która wskazywała koncentrację kapitału i komercjalizację podstawowych dóbr, takich jak woda, jako główne przeszkody dla rozwoju. Kast realizację dużych projektów i ciężar decyzyjny chce przenieść na prywatne przedsiębiorstwa i inwestorów. Jego wizja jest całkowicie zgodna z pinochetowską tradycją, która tak brutalnie zapisała w się w historii Chile za sprawą „chłopców z Chicago" – studentów papieża neoliberalnej ortodoksji Miltona Friedmana. Dogmat jest prosty: jak najmniej regulacji, jak najwięcej „rynku" – co zawsze prowadzi do ograniczenia praw socjalnych i związkowych, a także koncentracji bogactwa w rękach nielicznych.

Jednym z kluczowych tematów kampanii były obozy i nieformalne osiedla migrantów. Kast zaproponował zamknięcie granic i wydalenie ok. 300 tys. nielegalnych imigrantów – w ciągu wspomnianych 111 dni – przy rygorystycznym egzekwowaniu eksmisji z nieformalnych obozów. Jeanette Jara nazwała ten plan populistycznym i logistycznie niewykonalnym.

Niewątpliwie rząd Kasta będzie reakcyjny i represyjny – ale nie będzie opierał się na stabilnych fundamentach. Kwestionując główne filary sprawiedliwości społecznej, będzie musiał stawić czoła klasie pracującej, która nie została pokonana i pozostaje zorganizowana.

Co w takim razie wydarzyło się w tych wyborach?

W tym miejscu warto przeanalizować dane wyborcze. W wyborach prezydenckich w roku 2021 liczba wyborców wyniosła 7 mln w pierwszej turze i 8 w drugiej. W 2025 r. w obu turach zagłosowało po 13,5 mln ludzi. Te dodatkowe miliony poszły do urn z obowiązku. Referendum konstytucyjne w 2022 r. było bowiem pierwszym głosowaniem, w którym udział było obowiązkowy; zagłosowało w nim 13 mln wyborców.

W 2021 r. Gabriel Boric wygrał w drugiej turze, zdobywając 4,6 mln głosów; Kast przegrał z wynikiem 3,6 mln. Teraz Jara uzyskała 5,2 mln, a Kast 7,2 mln. Baza wyborcza lewicy pozostaje więc stabilna, z niewielkim wzrostem – ale zdecydowana większość nowych wyborców, którzy pojawili się w wyniku wprowadzenia obowiązku głosowania, skierowała się ku prawicy. Należy zatem zastanowić się, jakie były przyczyny polityczne i społeczne takiej postawy.

Rozczarowani

Otóż na początku XXI w. w Chile rozpoczęły się protesty i masowa mobilizacja na olbrzymią skalę. Punkt kulminacyjny osiągnęły one w rewolcie ludowej w październiku 2019 r. Od „Porozumienia o pokoju społecznym i nowej konstytucji" z 15 listopada 2019 r., poprzez wybór Gabriela Borica w 2021 r. i odrzucenie pierwszego projektu konstytucyjnego w 2022 r., wszelkie bardziej radykalne i postępowe przejawy gniewu społecznego były neutralizowane w zarodku. Rozczarowanie widać było szczególnie wśród młodych ludzi, w szkołach i na uczelniach.

Biorąc pod uwagę ogromną dyskredytację tradycyjnych partii – zarówno lewicowych jak i prawicowych – Boric jako nowy i młody polityk wydawał się niezwiązany z dotychczasowym układem. Niestety, zamiast radykalnej zmiany kursu, nadal realizował historyczny program prawicy skupiony na kwestiach porządku publicznego; kontynuował też militaryzację regionu Araucania, nie wywiązując się z obietnic względem Mapuchów.

W polityce zagranicznej Boric opowiedział się po stronie Stanów Zjednoczonych w sprawie wojny na Ukrainie, krytykował Wenezuelę, Nikaraguę i Kubę, zgodnie ze stanowiskiem amerykańskim. W polityce gospodarczej, poza drobnymi reformami, nie rozwiązał żadnego z fundamentalnych problemów społecznych, które leżały u podstaw buntu w 2019 r.: opieki zdrowotnej, edukacji, zatrudnienia, mieszkalnictwa i emerytur. Ponadto represjonował ruch studencki, likwidował skłoty i zapewnił bezkarność karabinierom w Araukanii.

Z kolei kandydatka komunistów Jeanette Jara, była minister pracy w rządzie Borica, przeforsowała reformę emerytalną wzmacniającą znienawidzony przez społeczeństwo prywatny system emerytalny, dystansując się od „powstania październikowego". Podczas kampanii prezydenckiej, Jara w wielu kwestiach – m.in. w sprawie polityki „porządku publicznego" i kontroli granic – wypowiadała się podobnie jak Kast, przybierała tylko inny ton i formę.

Wszystko to działało na korzyść Kasta i skrajnej prawicy; jej reakcyjny dyskurs nie budził już oburzenia.

Przykład Chile pokazuje, że lewicowy rząd realizujący politykę służącą oligarchii i nieuwzględniający mandatu otrzymanego od społeczeństwa zawsze toruje prawicy drogę do władzy.

Z drugiej strony, Chilijczycy są narodem dynamicznym i wyścig prezydencki przed wyborami w 2030 r. już się rozpoczął. Toczą się zacięte spory, kto poprowadzi opozycję do zwycięstwa. Jest nadzieja, że polityka nowej administracji wzmocni związki zawodowe, organizacje lewicowe i różne sektory awangardowe, które połączą swoje siły w walce o zablokowanie pochodu neoliberalizmu i pinochetyzmu.

ANDRZEJ ULMER

Trumpolandia

Historia nieżyjącego pedofila żyje własnym życiem. Departament Sprawiedliwości, zgodnie z ustawą „o transparentności akt Epsteina", ujawnił 3,5 mln stron dokumentów – aczkolwiek okazuje się, że to nie wszystko. Departament wyjaśnia, że „zredagowane" zostały „duplikaty, dokumenty objęte tajemnicą, stanowiące część trwającego śledztwa, opisujące przemoc" lub „kompletnie niezwiązane ze sprawą". Kongresman Jamie Raskins – który jako członek Komisji Nadzoru Izby Reprezentantów ma prawo dostępu do całości akt – mówi, że nazwisko Trumpa w nieocenzurowanych aktach pojawia się ponad milion razy. Inny kongresman, Robert Garcia, twierdzi, że wykaz archiwalny „wyraźnie wskazuje", że wśród dokumentów powinny być zeznania jednej z ofiar, która „wniosła dodatkowe, konkretne zarzuty" wobec Trumpa – ale zeznania te jakoś zniknęły.

To ostatnie to zapewne zasługa FBI i jego kuriozalnego szefa Kasha Patela, który sam siebie nagrodził podróżą na hokejowy finał igrzysk olimpijskich w Mediolanie. Podróż odbyła się oczywiście na koszt podatników, należącym do FBI samolotem, co wzbudziło niejakie poruszenie. Zwłaszcza w kontekście filmiku, na którym dyrektor FBI świętował wraz z drużyną amerykańską zwycięstwo, waląc browara z gwinta w szatni, a później polewając nim wszystkich dookoła. Podobno prezydent Trump – który nie pije – wyraził rozczarowanie zachowaniem dyrektora najważniejszej amerykańskiej instytucji śledczej. Rozczarowanie towarzyszyło także żeńskiej drużynie hokejowej (która też zdobyła złoto), kiedy prezydent Trump w telefonie gratulacyjnym do „chłopaków" zaprosił ich na orędzie o stanie państwa, dodając, że hokeistki też będzie musiał zaprosić, bo jak nie, to zagrozi mu impeachment – no co koledzy z drużyny zanieśli się serdecznym rechotem. Podobnie mizoginiczny zachwyt lał się ze świata MAGA; jeden influencer odnotował, że powraca męskość, która „została kompletnie wydezynfekowana z naszej estrogenicznej kultury". Komentatorka ukochanej telewizji Trumpa FOX News ogłosiła natomiast, że pokonanie Kanadyjczyków było ważkim wydarzeniem politycznym, bo „to praktycznie komuniści, którzy się przymilają do Chin".

Rys. MAURIZIO DI BONA

Przy okazji kolejnych kwitów z teczki Epsteina w kłopoty popadł sekretarz handlu Howard Lutnick, który na początku afery opowiadał z wyraźną dumą, że choć byli sąsiadami, spotkał Epsteina tylko raz w życiu, bo był odrażający: „Moja żona i ja zdecydowaliśmy, że już nigdy więcej nie będę w jednym pokoju z tą obrzydliwą osobą". Aczkolwiek z maili wynika, że Lutnick wybierał się na niesławną wyspę Epsteina w grudniu 2012 r. Zapytany o to na przesłuchaniu w kongresie, sekretarz handlu udzielił odpowiedzi, którą – zaskakująco – wyraźnie uznał za korzystną dla swojego wizerunku: „Zjadłem z nim lunch, kiedy przepływałem razem z moją rodziną na jachcie na rodzinnych wakacjach. Moja żona była ze mną, podobnie jak czworo moich dzieci i nianie". Czy ktoś może wytłumaczyć temu facetowi, że zabranie dzieci na wyspę pedofila niekoniecznie działa na jego korzyść?

Orędzie o stanie państwa – to, na które Trump musiał zaprosić też hokeistki (szczęśliwie dla siebie nie przyszły), okazało się najdłuższe w historii, ale i to nie odwróciło skutecznie uwagi opinii publicznej, toteż prezydent USA wyruszył na wojnę z Iranem. Przy okazji przez media przetoczył się klip z roku 2011, na którym Donald Trump – wyraźnie nietknięty jeszcze zębem demencji – wygłasza następujący monolog: „Nasz prezydent rozpocznie wojnę z Iranem, ponieważ jest absolutnie pozbawiony zdolności negocjacyjnych; jest słaby i nieskuteczny". Mówił o Obamie. Który – jak może pamiętacie – na Iran nie napadł.

AWŁ

eprasa.pl cc7ea89864

Moje pół wieku igrzysk

Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wracam na łamy po przerwie spowodowanej pobytem w szpitalu. Zimowe igrzyska olimpijskie Mediolan-Cortina obejrzałem tam w telewizji.

Na materacach

50 lat wcześniej, na ekranie telewizora w redakcji „Przeglądu Sportowego" oglądałem moje pierwsze igrzyska jako dziennikarz sportowy: letnie w Montrealu. Wówczas zobaczyłem, czym jest nasza praca, gdy impreza odbywa się w innej strefie czasowej. Zawody trwały, a u nas była noc. Pracowaliśmy natomiast w dzień i w dzień zsyłaliśmy materiały do drukarni. Efekt? Na sen pozostawało niewiele godzin. Nie bardzo opłacało się jechać do domu, zwłaszcza że w latach 70. minionego wieku co prawda nie było korków na ulicach, ale komunikacja miejska działała tak, jak się jej podobało. Najpierw czekało się godzinę na tramwaj lub autobus, a później przyjeżdżały trzy naraz. Powszechnie żartowano, że kierowcy i motorniczowie grają na pętli w zechcyka i wyruszają na trasę, gdy rozgrywka dobiegnie końca.

Byłem młodziutkim dziennikarzem, uczyłem się zawodu, patrzyłem, co robią starsi. A oni przynosili do redakcji nadmuchiwane gumowe materace, na których można było złapać choć chwilkę snu. Po prawdzie mieszkałem niedaleko redakcji, 10 minut piechotą, ale też pokładałem się na materacach. Chciałem być jak oni, moi mistrzowie.

Najbardziej pamiętam oczywiście zbiorową radość, gdy nasi siatkarze pokonali w finale reprezentację ZSRR. Nikt wówczas nie spał! Do pisania chętny był za to każdy, ale siatkówka była domeną Janusza Nowożeniuka, pseudonim „Docent", a on, niczym prawdziwy samiec alfa, bronił swojego terytorium.

Serce zabiło mi mocniej, gdy brązowy medal olimpijski zdobyli nasi piłkarze ręczni. Przypomniałem sobie, że wcale nie tak dawno miałem za sobą nieudaną karierę szczypiornisty i cokolwiek znałem się na tym sporcie. Ale tutaj dla odmiany rządziła Ola Korolkiewicz. Nie pozostawało mi nic innego niż dalej pokładać się na nadmuchiwanym materacu i udawać kogoś zajętego.

Kolejne igrzyska – jako jedyne – oglądałem na własne oczy. Zwykle na najważniejszą imprezę wysyłano tylko redaktorów naczelnych lub kierowników działów. Oni – że tak powiem – reprezentowali swoje tytuły, pisali niewiele, główną robotę wykonywało się w redakcji. W 1980 r. daleko mi było do zaszczytnych funkcji, ale z „Trybuny Ludu" postanowiono wysłać do stolicy Kraju Rad aż dwie osoby – kierownika działu Andrzeja Lewandowskiego i mnie, czyli obiecującego, a przede wszystkim szybkiego w pisaniu reportera. Andrzej Lewandowski zatelefonował do mnie teraz do szpitala, życzył zdrowia. Ma 91 lat i – jak zapewnił – czuje się całkiem dobrze.

Z moskiewskich igrzysk najbardziej zapamiętałem oczywiście rekordowy skok o tyczce i słynny gest Władysława Kozakiewicza, złoty medal w biegu na 3 tys. m z przeszkodami Bronisława Malinowskiego i srebrny medal Czesława Langa w szosowym wyścigu, bo już wówczas kolarstwo było najbliższe mojemu sercu. Do dziś nie wiem, dlaczego szef odpuścił mi takie efektowne dyscypliny, a sam poszedł na jakieś mniej istotne zawody. Czy miałem go o to pytać teraz, gdy zatelefonował do mnie do szpitala?

Kolejne igrzyska olimpijskie, letnie i zimowe, to była już rutyna. Większość pracy, jak już wspomniałem, wykonywaliśmy w redakcji, wysłannicy przysyłali tylko komentarz, jakieś ciekawostki, czasem wypowiedzi sportowców z konferencji prasowych. Nic szczególnego nie wryło mi się w pamięć, nie przeżywałem tego tak jak pierwszych „moich" imprez.

Niezniszczalni

Dość wspomnień. Przejdźmy do zakończonych igrzysk w Mediolanie, Cortinie i kilku jeszcze innych włoskich lokalizacjach. Ale tematu szpitalnego pominąć się nie da.

Najsłynniejszą pacjentką jest na pewno trzykrotna medalistka olimpijska, 41-letnia amerykańska królowa narciarstwa alpejskiego Lindsey Vonn (nawiasem mówiąc, dobra kumpela naszej Igi Świątek). Już na starcie pojawiła się w stanie, który kogo innego mógłby zaprowadzić do kliniki rehabilitacyjnej. Jeździła i startowała na nartach po wymianie stawu kolanowego i z naderwanym więzadłem krzyżowym. Taka kontuzja futbolistę eliminuje co najmniej na kilka tygodni z treningów.

Lindsey Vonn należy do tych sportowców, którym takie „drobnostki" nie przeszkadzają. Część internautów, których wypadałoby raczej nazywać hejterami, rozpisywała się w sieci, że weteranka powinna dać sobie spokój, przekazać miejsce w reprezentacji komuś młodszemu. Ale Vonn wynikami w sezonie w pełni zasłużyła na miejsce w drużynie USA (m.in. dwukrotnie wygrała bieg zjazdowy podczas Pucharu Świata, a na wszystkich zawodach w tej konkurencji stawała na podium). Chciała pokazać sobie i innym, że można sobie radzić w najtrudniejszych sytuacjach. Podziwiam takich sportowców, a postawę Lindsey Vonn porównałbym do tego, co robi były wielokrotny mistrz świata na żużlu Nicky Pedersen, którego kości wielokrotnie skręcane były śrubami, a płuca przebijane przez żebra. Mimo to 49-letni Duńczyk wciąż ściga się na czarnym torze, choć już nie w tak dobrych klubach jak w szczycie swojej kariery.

Start w biegu zjazdowym w Cortinie zakończył się dla Lindsey Vonn wypadkiem już na jednej z pierwszych bramek. Śmigłowiec odtransportował ją do szpitala, gdzie przeszła cztery skomplikowane operacje. Po powrocie do Stanów poddano ją kolejnemu, piątemu zabiegowi. Co po tym wszystkim miała ta niesamowita alpejka do powiedzenia? „Nic nie jest niemożliwe, dopóki się tego nie spróbuje. Nie osiągnęłam swojego olimpijskiego celu, ale i tak zrobiłam dużo. Dziękuję wszystkim, którzy we mnie wierzyli".

Vonn wciąż poddawana jest zabiegom, lekarze mówią, że nie wiadomo kiedy – i czy w ogóle – wróci do sportu. Ja jednak jestem przekonany, że wróci, bo jest w narciarstwie osobą wyjątkową. A internetowi hejterzy niech siedzą dalej nad klawiaturami i wypisują różne bzdury. Im jest na pewno łatwiej i bezpieczniej.

Ostrzy jak łyżwa

Wracamy na krajowe, polskie podwórko. Łyżwiarze szybcy, zwani panczenistami, wrócili z Włoch do kraju samolotem i byli z honorami witani na warszawskim lotnisku Chopina. Na czele delegacji kroczył srebrny medalista w biegu na 10 km Władimir Semirunnij. Prędko nazwano go „naszym Władkiem", choć po prawdzie zdrobnienie jego imienia powinno brzmieć Włodek, bo rosyjski Władimir, to nasz Włodzimierz. Imię medalisty, który dopiero od niedawna ma polskie obywatelstwo, to nie jedyny językowy problem. Wkrótce po przylocie „nasz Władek" zapowiedział, że uda się do urzędów w celu zmiany nazwiska na łatwiejsze do wymawiania przez Polaków, jeśli się nie mylę, chce nazywać się Semiruny. A w ogóle to bardzo sympatyczny chłopak i bardzo ambitny sportowiec.

Jako fanowi kolarstwa Władimir zaimponował mi zapowiedzią, że planuje start w kolarskich mistrzostwach Polski w jeździe indywidualnej – i je wygrać. Czesław Lang obiecał, że podaruje mu najnowocześniejszy rower Colnago V4Rs, na jakim Słoweniec Tadej Pogačar gromi rywali na całym świecie.

Z delegacją panczenistów nie wróciła do kraju Kamila Sellier. Na krótkim torze doszło do fatalnego wypadku. W ćwierćfinałowym biegu na 1500 m upadająca na lód Polka została uderzona w twarz łyżwą przez Amerykankę Kristę Santos-Griswold. Trzeba wiedzieć, że płoza łyżwy jest tak ostra, iż brzytwa wygląda przy niej niczym tępe narzędzie. Dlatego każda zawodniczka i każdy zawodnik pod groźbą dyskwalifikacji muszą mieć pod kostiumem kevlarowy ochraniacz. Jedynymi nieosłoniętymi częściami ciała są szyja i twarz.

Polkę natychmiast odwieziono do szpitala, a Amerykankę zdyskwalifikowano. Po wszystkim panie wymieniły fajną korespondencję, oczywiste jest przecież, że sytuacja była przypadkowa. Polka wyraziła współczucie Amerykance, na którą wylał się hejt.

Kamila napisała, że każda panczenistka startująca w short tracku ma świadomość ryzyka. Wypadki zdarzały się i będą się zdarzać. Nikt nie jest winien za wypadek – mocno podkreśliła.

Krista Santos-Griswold odpowiedziała natychmiast. Podziękowała Kamili Sellier za wyrozumiałość i dodała, że zaszczytem jest rywalizować z taką zawodniczką. Uprzejmości uprzejmościami, ale najwięcej troski budził stan zdrowia Polki. Obawy dotyczyły głównie zakrwawionego oka.

Kamila poddana została badaniu we włoskiej klinice, w której stwierdzono, że płoza łyżwy Amerykanki co prawda przecięła powiekę Polki, ale najprawdopodobniej gałka oczna nie została uszkodzona; stwierdzono natomiast uszkodzenie kości policzkowej. Najprawdopodobniej Polkę uratowały sportowe okulary. Nie wiem, czy uszkodzony sprzęt zechce zachować na pamiątkę (w każdym razie pokazała go w internecie), czy nie będzie przechowywać czegoś, co przypomina o fatalnym wypadku na olimpijskim torze. Polka jest już od dawna w domu, ale nie przyleciała samolotem. Z Włoch przywieźli ją rodzice samochodem. Na treningi i starty w zawodach będzie musiała jednak zaczekać, aż minie niepokój o stan jej zdrowia.

Sellerowie

Naszych medalistów szeroko przedstawiano. Medali zdobyli cztery, ale bohaterów było tylko trzech: Władimir Semirunnij oraz skoczkowie narciarscy Kacper Tomasiak i Paweł Wąsek. O Kamili Sellier wiemy mniej. Śpieszymy nadrobić ten brak.

Kamila Stormowska urodziła się w Elblągu, obecnie startuje w barwach klubu Stoczniowiec Gdańsk. Wielokrotnie zdobywała medale mistrzostw Polski, start w igrzyskach Mediolan-Cortina był jej drugim olimpijskim występem. W maju ub.r. wyszła za mąż za swojego klubowego kolegę, Francuza Diané Selliera, z którym poznali się podczas wspólnych zgrupowań i startów w sztafetach mieszanych.

Diané był bliski zakończenia łyżwiarskiej kariery. Po prostu sport przestał go cieszyć. Trener Gregory Durand namówił go do przystąpienia do sekcji łyżwiarskiej Stoczniowca Gdańsk – nie tylko najsilniejszej w Polsce, ale znanej z dobrej atmosfery i fachowych trenerów. Diané posłuchał rady, w Polsce zdobywał medale dla Stoczniowca, ale nadal był reprezentantem Francji. Z biegiem czasu poprosił o możliwość trenowania z reprezentacją Polski, prośbę motywując tym, że czuje się w naszym kraju jak w domu. Został pierwszym reprezentantem Polski, który zwyciężył w zawodach Pucharu Świata.

Przepisy w łyżwiarstwie szybkim są dość liberalne. Nie trzeba posiadać paszportu kraju, który chce się reprezentować, żeby mieć prawo występowania w jego barwach, wystarczy zgoda Międzynarodowej Federacji Łyżwiarstwa Szybkiego. Sprawa zmienia się podczas igrzysk olimpijskich. Tam bez paszportu ani rusz. Wystarczy przypomnieć sobie, w jak ekspresowym tempie załatwiano dokument dla Władimira Semirunnija. On pojechał na igrzyska, Diané – nie.

Kamila i Diané Sellier to naprawdę piękna para. Żeby się o tym przekonać, wystarczy wejść na klubową stronę Stoczniowca Gdańsk, gdzie w bogato ilustrowanym zdjęciami materiale uroczyście ogłoszono, że od 2 maja 2025 r. sekcja short tracka gdańskiego klubu ma panią i pana Sellier. Ślubu nowożeńcom udzielał prezydent Elbląga, rodzinnego miasta Kamili. Diané wystąpił o polskie obywatelstwo.

• • •

Podczas gdy w szpitalu neurologicznym naprawiano mi chore nogi – co trwało dość długo, ale z dobrym skutkiem – w mojej poczcie internetowej znalazło się zaskakująco dużo pytań o przyczyny nieobecności rubryki „Sportek", a w przypadku kłopotów ze zdrowiem autora życzenia poprawy. Za wszystkie listy jestem wdzięczny, nie odpisywałem na nie osobno (choć mam taki zwyczaj), ale było ich po prostu bardzo dużo. Jeszcze raz dziękuję i uspokajam, że przeszedłem tylko generalny remont.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
w.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 4.03.2026 r.

eprasa.pl cc7ea89864

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Półprezes Sławomir Mentzen przełknął zbyt duży kawałek szarlotki i pomyślał, że to, co czuje, to dysonans poznawczy.

– Co ja mam myśleć, jeśli Putin, który napada na Ukrainę, jest zły, a Trump, który napada na Iran, jest dobry? – spytał, nie tracąc z oczu leżącej na salaterce resztki szarlotki.

– Na Iran napadł też Netanjahu, który na pewno jest zły – z beztroskim uśmiechem odparł półprezes Krzysztof Bosak.

Mentzen pomyślał, czy czasem nie wypada teraz zakwestionować istnienia komór gazowych w Auschwitz, lecz machnął ręką: szkoda mu było energii na dywagacje historyczne, które prowadzą donikąd.

– Zbrodniarz wojenny – mruknął.

– Obaj zbrodniarze wojenni – odmruknął Bosak.

Mentzenowi nie chciało się ustalać, kto jest drugim zbrodniarzem: Trump czy Zełenski. Półprezes Bosak nie rwał się do zjedzenia ciasta, półprezes Mentzen pomyślał zatem, że zakończy ostateczne rozwiązanie kwestii szarlotki.

– Nie krępuj się. – Bosak czytał mu w myślach. – Nie rozumiem, z czym masz problem.

– Mam dysonans poznawczy – powiedział Mentzen, kładąc do ust ostatnie okruszki. – A jeśli ja mam, to mogą go mieć nasi wyznawcy.

– Wolę określenie „wyborcy”… Należy im więc wyjaśnić, gdzie jest przód, a gdzie tył.

– Ale ja sam…

– Jedno jest pewne – przerwał Bosak. – Bardzo zły jest Netanjahu. Zły był, jest i będzie Zełenski, bo był, jest i będzie Ukraińcem, a Ukraińcy są źli. Co do Rosjan, to są źli Rosjanie, ale są i dobrzy, podobnie jak Amerykanie.

– A Persowie? – zapytał Mentzen. Odbiło mu się cynamonem.

Bosak rozłożył ręce.

• • •

Premier Binjamin Netanjahu nie miał ani dysonansu poznawczego, ani dylematu. Uważał, że Persów należy wdeptać w ziemię.

Minister obrony Jo’aw Galant sądził podobnie.

– Potem trzeba się będzie rozprawić z innymi antysemitami – rzekł.

– Masz na myśli Mentzena i Bosaka?

– Mentzen&Bosak? To nazwa fabryki maszyn rolniczych? – zapytał Galant.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA rozważa wystąpienie o azyl w Hiszpanii. **JOANNA SENYSZYN** lubi Hiszpanów, ale trochę się dziwi.

Senyszyn: – A tak właściwie: czemu w Hiszpanii? Sama narzekałaś, że twój hiszpański jest do niczego.

Wołk-Łaniewska: – No jest. Ale go poprawię, bo Hiszpania jest ostatnią nadzieją Europy.

– Niech zgadnę: dlatego, że Trump powiedział, że jest „okropna” i zerwie z nią wszystkie kontakty?

– Powiedział coś ciekawszego, cytuję dosłownie: „Hiszpania powiedziała, że nie możemy używać ich baz, ale my możemy użyć ich baz, jak zechcemy, możemy tam po prostu przylecieć i ich użyć, nikt nam nie będzie mówił, żeby mamy ich nie używać, ale nie potrzebujemy”…

– To dość niezwykły wywód, jeśli chodzi o poszanowanie nienaruszalności terytorialnej sojusznika. A polscy miłośnicy suwerenności milczą.

– Na tej samej konferencji, z kanclerzem Merzem, Trump powiedział jedną rzecz, z którą trudno polemizować. Otóż że Merz jest przeciwieństwem Angeli Merkel. Sto procent racji: ona była mężem stanu – i wybacz, na żaden feminatyw się tu nie zgodzę – a ta glista ludzka, która dziś rządzi Niemcami, jest gotowa wleźć Trumpowi tą drogą, którą obleńce zwykle organizm ludzki opuszczają. Ohyda…

– Zmieniając temat na nieco weselszy: widziałaś, jak Melania Trump otworzyła posiedzenie Rady Bezpieczeństwa ONZ?

– A pewnie! Cała władza w ręce kobiet! Wszystkiego najlepszego z okazji 8 marca!

– Wszystkiego! Tobie i Czytelniczkom! Ale to akurat chyba jednak nie był akt strzelistego feminizmu…

– Jak to nie? W końcu przywaliła ruchowi MAGA z całej siły!

– Naprawdę tak to widzisz?

– A ty nie? Posłuchaj – wynotowałam sobie: „dzieci wychowane w kulturze opartej na wiedzy utrzymują głęboki system wartości”, bo „wiedza sprzyja empatii, wykraczającej poza granice geograficzne, religijne, rasowe, płciowe, a nawet lokalne normy”. Natomiast „dzieci wychowane w kulturze opartej na ignorancji są otoczone chaosem”, zaś „społeczeństwa takie są pełne ludzi o sztywnym sposobie myślenia, którzy popierają uprzedzenia i lekceważą godność ludzką”. I jeszcze, że „naród, który traktuje naukę jak rzecz świętą, chroni swoje książki”.

– To rzeczywiście brzmi jak ostra krytyka Ameryki Trumpa. Oni w końcu specjalizują się w zakazywaniu książek. Stowarzyszenie Bibliotek Amerykańskich oblicza, że republikanie zgłosili 112 ustaw stanowych, pozwalających na cenzurowanie zawartości bibliotek pod względem treści „obscenicznych” lub „szkodliwych dla młodzieży” – chodzi oczywiście o książki poruszające tematy LGBTQ+, ale też Krytyczną Teorię Rasy czy analityczne spojrzenie na historię USA. Niektóre z tych ustaw grożą bibliotekarzom więzieniem.

– Za to w kilku stanach te uchwalone przez chrześcijańskich integrystów przepisy pozwoliły na wywalenie ze szkolnych bibliotek ich Pisma Świętego. W hrabstwie Davis w stanie Utah jedna wpieniona na cenzorów mamusia doprowadziła – niestety czasowo – do usunięcia z półek Biblii, argumentując, że promuje ludobójstwo, niewolnictwo i gwałt. W Colorado Springs z kolei tatuś wynotował opisy kazirodztwa, gwałtów kazirodczych, gwałtów zbiorowych, rozwiązłości seksualnej, cudzołóstwa i aborcji. I jakoś mi się zdaje, że Melania nieprzypadkowo mówiła o narodzie, który chroni swoje książki…

– Rewolucja zawsze zjada własne dzieci i ojców też, więc może to zwiastuje jesienne zwycięstwo amerykańskich demokratów.

– Pod warunkiem, że zdobędą się na pokazanie lewicowej alternatywy, zamiast bezbarwnego centrum. Przechodząc do kraju – bo jedna sprawa mnie gnębi: co myślisz o wyroku na lekarzy, którzy wykończyli Izabelę z Pszczyny? Kary bezwzględnego więzienia dla wszystkich trzech? Bo ja mam mieszane uczucia…

– Ja też. Obawiam się, że lekarze są w tej sprawie kozłem ofiarnym. Tak naprawdę pójść siedzieć powinni pisowcy sędziowie Trybunału Konstytucyjnego, który to nieludzkie prawo uchwalili.

Rys. JANUARY

– Pełna zgoda. Rozumiem tymczasowy zakaz wykonywania zawodu; rzeczywiście, jak lekarz nie ma odwagi, żeby ratować życie pacjentki, bo boi się politycznej odpowiedzialności – to może powinien poświęcić trochę czasu na refleksję nad sobą i swoim powołaniem. Ale wsadzanie ich ich do pierdla wydaje mi się aktem populizmu penalnego.

– Prawda? Tak, jakby sąd postanowił, że lud jest oburzony i trzeba kogoś rzucić na pożarcie.

– Nie chciałabym, żeby sędziowie kierowali się nastrojami ludu – w odróżnieniu od polityków, którzy poświęcają im za mało uwagi, bo wiedzą lepiej. À propos polityków i ludowych nastrojów: obejrzałaś już „Ołowiane dzieci”?

– To – wyjaśnijmy, jakby ktoś nie wiedział – bardzo modny serial na Netflixie. Oglądałam pobieżnie. Ale słyszałam, że rodziny bohaterek są oburzone tym, jak serial fałszuje historię, co zdaje się będzie mieć finał w sądzie.

– Ja też jestem oburzona – tym, jak tam pokazują Polskę Ludową. Prawdziwa historia – uwaga spojler – była taka, że prof. Bożena Hager-Małecka, bezpartyjna ordynator kliniki pediatrii w Zabrzu, wykryła u dzieci z osiedla przy hucie Szopienice ołowicę i wraz z lekarką z osiedlowej przychodni Jolantą Wadowską-Król przeprowadziły badania, wytypowały chore dzieci, po czym wysłały je do sanatoriów, a zanim one wróciły, 251 rodzin miało już nowe mieszkania, z dala od huty i ołowiu.

– Dziś nie do pomyślenia, bo żaden rząd III RP nie dałby biednym ludziom kilkuset mieszkań. Teraz władza przestała już dbać nawet o klasę średnią, którą obecny system podatkowy pauperyzuje. 800 plus jest troską fałszywą, a co gorsza ideową – chodzi o przyrost naturalny – podczas gdy dwa miliony osób, w tym kilkaset tysięcy dzieci, żyją w skrajnej biedzie.

– Cała ta akcja ratunkowa była możliwa, bo prof. Hager-Małecka – która skądinąd parę lat później została posłanką na sejm PRL, też bezpartyjną – miała na Śląsku bardzo mocną pozycję jako uczona, a do tego była zaprzyjaźniona z gen. Ziętkiem, z którym jej dziadek walczył w powstaniach śląskich, i nieźle znała Gierka. Więc jak się okazało, że dzieci mają ołowicę, to Ziętek jej poradził, żeby się wbiła do gabinetu Grudnia, gdzie akurat był Gierek – i została podjęta polityczna decyzja, że sprawa ma zostać załatwiona.

– Serial pokazuje to zupełnie inaczej. Hager-Małecka jest tam postacią na tyle szmatławą, że twórcy filmu postanowili zmienić jej nazwisko, żeby nie było kłopotów. A rodziny z zanieczyszczonego ołowiem osiedla dostają mieszkania tylko dzięki temu, że matki chorych dzieci przychodzą z protestem pod hutę, Grudzień chce wysłać na nie ZOMO, ale do matek dołączają ojcowie…

– Taaa, i partia się zlękła tej siły. A, i jeszcze jest jeden esbek – postać kompletnie wymyślona – który porywa tę lekarkę z przychodni osiedlowej, wywozi na hałdę węgla z workiem na głowie, przystawia jej pistolet do czoła, każe klękać, w ogóle scenka jak z głębokiego stalinizmu. A jest to rok 1974. Strasznie mnie wkurwia, że jak w tzw. wolnej Polsce ktoś chce powiedzieć coś dobrego o PRL, to koniecznie musi wykazać, że to było przeciwko władzy.

– Pewnie się boją, że inaczej nie dostaliby pieniędzy na kręcenie. Ale to też kwestia szkolnej edukacji. Teraz uczniowie dostają zafałszowany obraz PRL. Rozmawiałam ostatnio z młodymi artystami i oni są naprawdę przekonani, że w Polsce Ludowej panował głód, no bo skoro w sklepach był tylko ocet i musztarda… Słuchali, dosłownie z rozdziawionymi buziami, jak zabawowe i artystycznie kreatywne było studenckie życie, a przede wszystkim, jak normalne. A może naprawdę uwierzyli Morawieckiemu, że jego dziecięcy wózek służył do przewożenia granatów pod małym Mateuszkiem…

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl cc7ea89864